



Natasha Oakley

Narieczona dla księcia

Tytuł oryginału: *Crowned: An Ordinary Girl*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Widzę, że czyta pani Czechowa. A czytała pani może Tolstoja?

Doktor Marianne Chambers przerwała przeglądanie tekstu przemówienia. Na jej czole pojawiła się pionowa bruzda. W usłyszanych przed chwilą słowach rozpoznała echo rozmowy sprzed lat. Nie, to niemożliwe. Cóż robiłby w hotelu podczas konferencji naukowej? To tylko pamięć płatała jej figle. Choć czy możliwy był aż taki zbieg okoliczności? Taki sam akcent, zdradzający staranne wykształcenie, a jednocześnie obce pochodzenie? Dokładnie te same słowa? Pamiętała je doskonale, podobnie jak wszystko, cokolwiek Seb Rodier powiedział, począwszy od pierwszej rozmowy, jaką przeprowadzili na stopniach katedry w Amiens, gdy przerwał jej lekturę Czechowa.

Cień postaci padł na wydruk; który trzymała na kolanach.

- A Hardy'ego? - kontynuował ten sam głos. - Wprawdzie potrafi być bardzo dołujący, ale jeśli się go lubi...

Dobry Boże, to niemożliwe...

Odwróciła się gwałtownie, by ujrzeć znajomą uśmiech-

niętą twarz. Choć upływ czasu nieco go zmienił, nie miała wątpliwości, że stoi przed nią ten sam mężczyzna, który przed laty wywrócił jej życie do góry nogami. Wtedy ubrany był w wytarte dżinsy i bawełnianą koszulkę, nie wyróżniał się zatem spośród grupy studentów, teraz zaś miał na sobie doskonale skrojony garnitur. Zupełnie jej to nie dziwiło, ostatecznie w ciągu ostatnich lat widziała pewnie setki zdjęć księcia Sebastiana II, żadne z nich jednak nie przygotowało jej na wstrząs, jakiego doznała, spoglądając w znajome ciemne oczy.

- Witaj, Marianne - powiedział półgłosem.

Seb... Ten sam, na którego czekała jako osiemnastolatka, z dala od domu, mieszkając przy obcej rodzinie, przeżona, stęskniona. Miała nadzieję, że zadzwoni, da jakiś znak życia, musiały jednak upłynąć długie lata, nim to nastąpiło, w dodatku całkowicie nieoczekiwanie. Któż mógłby przypuszczać, że jeszcze się spotkają? Kiepsko opłacani naukowcy rzadko mieli okazję przebywać w towarzystwie arystokratów, a już tym bardziej członków rodzin królewskich.

- Seb? - wykrztusiła z trudem. - Czy wolno mi do ciebie tak mówić? A może powinnam raczej powiedzieć Wasza Wysokość?

- Wasza Księżęca Wysokość - uzupełnił z żartobliwym uśmiechem. - Ale Seb w zupełności wystarczy. Miło cię znów widzieć. Co u ciebie słychać?

Jak przez grubą kurtynę dobiegały do niej odgłosy codziennego życia, pobrzękiwanie filiżanek, rozmowy, śmiechy. Szumiało jej w uszach, oczy zachodziły mgłą.

- Wszystko dobrze - skłamała. - A u ciebie?

- Też dobrze. - Obszedł ją tak, by stanąć naprzeciwko.
- Minęło dobrych parę lat...
- Owszem.
- Wyglądasz naprawdę wspaniale.
- Dziękuję. Ty też. To znaczy... - urwała, nie wiedząc, jak z tego wybrnąć.
- Mogę obok ciebie usiąść?

W pierwszym odruchu chciała odmówić i szybko odejść pod byle pretekstem. Nie wiedziała, jak ma się zachować, nieczęsto zdarzało jej się spotykać dawnych ukochanych i rozmawiać z nimi w taki sposób, jak gdyby nigdy nie łączyła ich intymna bliskość. Sięgnęła po leżące wydruki i włożyła je do teczki.

- Chyba i tak nie mogłabym cię powstrzymać? - Zerknęła na dwóch mężczyzn w szarych garniturach stojących w odległości kilku kroków w opustoszałym już korytarzu.

- Spodziewam się, że ci panowie dokładają wszelkich starań, byś uzyskała wszystko, czego zapragniesz.

Nie zaprzeczył, jak gdyby z góry zakładał, że ona i tak zna prawdę. Jak gdyby nigdy nie ukrywał przed nią swego pochodzenia... Trudno było nie natknąć się na jego zdjęcie w którymś z kolorowych magazynów, jakich pełno w poczekalniach u dentystów czy w salonach fryzjerskich. Miała już okazję podziwiać go podczas wyprawy narciarskiej, wycieczki górskiej, a także na fotografiach z licznych królewskich ślubów, w tym z jego własnego. Pamiętała nawet imię dziewczyny, z którą się ożenił, a po paru latach rozwiódł. Nazywała się Amelie, pochodziła z rodu Saxe-Broden. Ich ślub przyciągnął przedstawicieli wszystkich światowych mediów, trudno zatem było nie

natknąć się na tę informację. W pewnym sensie była to doskonała zachęta dla Marianne, by wreszcie otrząsnąć się ze wspomnień i zająć budowaniem życia na nowo.

- A zatem co cię sprowadza do Anglii? Czyżby miało się odbyć jakieś ważne wydarzenie w rodzinie królewskiej?

- Nie, to całkowicie prywatna wizyta.

- Ach, jak to miło - prychnęła.

Sarkazm w jej głosie zaskoczył ją samą, nie spodziewała się po sobie takiej reakcji. By dojść do siebie, pochyliła się nad aktówką i dla zyskania na czasie zajęła się pakowaniem dokumentów. Do oczu napłynęły jej łzy, po części ze smutku, po części zaś ze złości. Nie wolno jej więcej płakać, dość już wylała łez z jego powodu!

- Tym razem podróżujesz incognito? - zapytała, nie spuszczać oka z aktówki. - Choć z tymi dwoma jest to pewnie nieco utrudnione.

- Wciąż masz do mnie żal - odgadł.

- A czego się spodziewałeś? - nie wytrzymała.

- Hm... Miałem nadzieję...

- Miałeś nadzieję, że jakimś cudem zapomniałam twoje kłamstwa, tajemnicze zniknięcie i brak jakiegokolwiek kontaktu. Może to cię zaskoczy, ale o takich rzeczach trudno zapomnieć.

-Marianne, ja...

- Przestań - przerwała mu gwałtownie. - Ani się waż. Minęło dziesięć lat, odkąd przestało mnie interesować, co masz na ten temat do powiedzenia.

- Nie okłamałem cię.

Podnosiła się właśnie, by odejść, ale jego słowa sprawi-

ły, że zamarła w bezruchu. Jak śmiał?! Jak mu to w ogóle przeszło przez gardło?!

- Czyżby? Może w takim razie jakimś cudem nie do-
słyszałam, gdy mówiłeś mi, że jesteś przyszłym władcą
Andowarii? Ależ ze mnie głuptasek.

Przez chwilę wyglądał tak, jak gdyby go właśnie spo-
liczkowała. Wprawdzie nie odczuwała tak wielkiej satys-
fakcji, jakiej się spodziewała, ale mimo to postanowiła
kontynuować.

-W takim razie strasznie mi przykro, że przez te
wszystkie lata uważałam cię za kompletnego drania.

- Owszem, przyznaję, że nie powiedziałem ci, że jestem
następcą tronu.

- Też mi nowina - mruknęła.

- Ale miałem ku temu swoje powody.

Doprawdy, nawet w wieku osiemnastu lat szybko do
tego doszła, nie musiał jej tego teraz mówić. Dowiedziaw-
szy się, że jej ukochany Seb Rodier zostanie wprowadzony
na tron niewielkiego księstwa Andowarii, domyśliła
się szybko, jakie mogły być powody jego milczenia. Mimo
to nie widziała żadnego usprawiedliwienia dla podłości, z
jaką ją potraktował.

- Nie kłamałem ci przecież co do mego nazwiska,
prawda?

- Oczywiście, że nie. Tylko że świetnie zdawałeś sobie
sprawę, że nie wiem, kim jesteś, a jednak nie pofatygowa-
łeś się, aby mi to wyjaśnić. Nigdy nie słyszałam o Ando-
warii, byłam przekonana, że jesteś Austriakiem, ty nato-
miast nie uczyniłeś nic, by wyprowadzić mnie z błędu.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem Austriakiem - zaproponował.

- Owszem, ale przecież mówiłeś, że mieszkasz niedaleko Wiednia.

- Co jest jak najbardziej zgodne z prawdą.

Zamknęła na moment oczy. Ta rozmowa nie miała sensu, prowadziła donikąd, stawała się więc nie do wytrzymania.

- Naprawdę, nawet jeśli nazywasz się Ambroży Wia-derko i mieszkasz na Saturnie, w niczym nie zmienia to sytuacji. Okłamałeś mnie i nie potrafię ci wybaczyć.

- Marianne.

- Dość. - Podniosła dłoń.

Marzyła o tym, by uciec jak najdalej stąd, dokądkolwiek, aby tylko znaleźć się jak najdalej od Jego Wysokości.

Wyprostowała się i odeszła, mechanicznie stawiając krok za krokiem, nie oglądając się za siebie. Gdy znalazła się na zewnątrz hotelowego budynku, zbiegła po schodach na chodnik. Uciekała od księcia, będącego starszą wersją dziewiętnastoletniego studenta lingwistyki, z którym jadła naleśniki, spacerowała wzdłuż brzegów Sekwany, którego bezgranicznie kochała. Zagryzła dolną wargę aż do krwi. Dlaczego pamięć była dla niej tak okrutna, że podsuwała jej przed oczy sceny sprzed lat?

Zwolniła kroku, bo tłum na londyńskich ulicach gęstniał z minuty na minutę. Na szczęście, tuż za rogiem znajdowała się znajoma kafejka, więc z ulgą weszła do środka. Potrzebowała filiżanki kawy i czasu na zebranie myśli.

Obserwując oddalającą się sylwetkę Marianne, Seb z trudem powstrzymywał się, by nie zakląć na cały głos. Nie podejrzewał nawet, że pójdzie mu aż tak źle, co gorsza, czuł się naprawdę nieswojo. Ile pełnych zdań udało mu się wypowiedzieć podczas tej rozmowy? Dwa? Może trzy? Jak na osobę znaną z tego, iż w każdej sytuacji potrafi powiedzieć coś stosownego, był to doprawdy marny wynik. Od dawna także nie zdarzyło mu się, by ktoś zwracał się do niego bez szacunku, należnego jego pozycji. Na szczęście, na korytarzu nie było nikogo poza jego własnymi ludźmi.

- Ile z tego słyszeliście? - zapytał, odwracając się w ich kierunku.

Usta Karla zadrżały, co niechybnie oznaczało, że z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Postarajcie się o tym zapomnieć - poprosił, przeczesując dłonią krótko obcięte włosy.

Zupełnie niepotrzebnie im to mówił, zarówno Karl, jak i Georg znani byli z dyskrecji i nigdy jeszcze nie zdarzyło im się wyjawić czegokolwiek o jego prywatnym życiu nie tylko prasie, ale też i innym członkom księżęcej świty. Powinien raczej wskazówkę tę skierować sam do siebie, po to, by móc całkowicie skoncentrować się na celu swej londyńskiej wyprawy. Nie wiedział tylko, co musiałby uczynić, aby zapomnieć o Marianne... Wystarczyło bowiem, by na liście uczestników konferencji ujrzał jej nazwisko, a poczuł mrowienie na karku, jak więc miał zapomnieć o tym, że po tylu latach mógł ją wreszcie ujrzeć? Do końca nie wierzył, iż współpracownica profesora Blackwella okaże się tą samą studentką lingwistyki, którą przed laty

poznał we Francji, ale gdy tylko ją ujrzał, porzucił wszelkie wątpliwości. W ciemnych dżinsach i białej koszulowej bluzce wyglądała niemal tak młodo, jak przed dekadą, w dodatku znów zastał ją na czytaniu, tak jak owego pamiętnego dnia, gdy Nick starał się za wszelką cenę odwieść go od zamiaru zaczepienia obcej dziewczyny.

- Wasza Książęca Wysokość... - przerwał mu rozmyślenia niewysoki, wyraźnie podekscytowany mężczyzna, pędzący ku nim długim korytarzem. - Nie wiedziałem, że Wasza Książęca Wysokość już przyjechał...

- Nic nie szkodzi, panie...

- Beaverstock. Anthony Beaverstock. Jestem kierownikiem hotelu.

- Panie Beaverstock. - Seb uścisnął mu dłoń. - Dziękuję, że zgodził się pan nas gościć.

- Ależ nie ma za co, Wasza Książęca Wysokość. - Mężczyzna aż poczerwieniał z wrażenia. - Staramy się, aby pobyt w naszym hotelu był dla każdego gościa jak najprzyjemniejszy. Profesor Blackwell czeka już w gabinecie. Jeśli Wasza Książęca Wysokość zechce pójść za mną...

Myśli Seba odpłynęły w innym kierunku, choć usta wypowiadały mechanicznie wszystkie wyćwiczone kwestie. Nieżyjący już ojciec byłby naprawdę z niego dumny. Wiele razy powtarzał mu, by zawsze miał na uwadze, iż dla wielu osób spotkanie z nim będzie drogocennym wspomnieniem, przechowywanym przez wiele lat, dlatego warto dołożyć wszelkich starań, by wspomnienie to było jak najlepsze. Po śmierci ojca przekonał się, iż on sam także kierował się tą zasadą w kontaktach z ludźmi, setki listów z kondolencjami były na to najlepszym dowodem.

Często zaczynały się one od słów „Gdy spotkałem Księcia Franciszka Józefa, uścisnął mi dłoń...”

Minęło osiem lat, odkąd Sebastian przejął tron, wciąż jednak odpowiedzialność ta wydawała mu się ciężarem. Był w stanie udźwignąć ją jedynie dzięki temu, iż od pierwszych chwil swego życia był starannie przygotowywany do przejęcia władzy, choć tak naprawdę w głębi serca marzył czasem o przekazaniu obowiązków komuś innemu. Na przykład Wiktorii... Starsza siostra doskonale odnajdywała się w swej roli, uwielbiała tradycyjny ceremoniał, nie razily jej pompa i przepych.

Gdy dotarli do znajdującego się na pierwszym piętrze gabinetu, kierownik otworzył drzwi i z nieskrywaną dumą, wielce podniosłym tonem zaanonsował przybycie dostojnego gościa. Słyszając to, profesor zerwał się na równe nogi.

- Profesorze Blackwell - odezwał się Seb, wyciągając ku niemu dłoń. - Jestem bardzo wdzięczny, że znalazł pan dla nas trochę czasu w trakcie tak ważnej konferencji.

- Nie ma za co. - Starszy pan uśmiechnął się z entuzjazmem. - To dla mnie przyjemność.

- Czy mogę panu przedstawić mojego osobistego sekretarza, Aloisa von Dietricha? Rozumiem, że mieli panowie okazję rozmawiać telefonicznie.

- Proszę wejść i rozgościć się - zachęcił profesor, wskazując gestem na fotele, stojące w rogu pomieszczenia. - Wyznam, że naprawdę jestem przekonany co do tego, co mówiłem wczoraj. Pod koniec miesiąca odchodzę na emeryturę.

Właśnie dlatego tu jestem, żeby osobiście odwiedzić pana od tego pomysłu - roześmiał się Seb.

- Proszę nie myśleć, że nie mam chęci, dwunasty i trzy-nasty wiek to moje najbardziej ulubione epoki, choć żona nazywa to raczej obsesją.

- I właśnie dlatego chciałbym, aby przyjechał pan do Andowarii...

Marianne zasiadła w sąsiednim fotelu, zakładając kosmyki włosów za uszy gestem, który zawsze oznaczał u niej zdenerwowanie.

- Czemu mi nie powiedziałaś o tym wcześniej?

- Nie miałem okazji - odparł, spoglądając z zakłopotaniem na trzymaną w dłoni filiżankę herbaty. - Wczoraj po południu rozmawiałem z jego sekretarzem, a książe zjawił się osobiście dziś rano.

-I naprawdę rozważasz wyjazd do Andowarii?

- Kto by nie rozważał? - Sięgnął po ciasteczko. - Wiem, co masz na myśli, Marianne, i w zupełności się z tobą zgadzam. Ale to szansa, jaka się trafia tylko raz w życiu. Jeśli to, co powiedział książe, jest zgodne ze stanem rzeczywistym, a nie mam powodu przypuszczać inaczej, to nic takiego nie pojawiło się od dziesięcioleci.

Siedziała w milczeniu, podczas gdy profesor kończył herbatę.

- Czy zastanawiałaś się, co możemy tam odnaleźć? - Wyprostował się i odstawił pustą filiżankę.

- Zostało ci zaledwie kilka tygodni do emerytury - przypomniała. - Mam nadzieję, że powiedziałaś o tym księciu.

- Eliana zrozumie...

- Nie, Peter, nie zrozumie. Obydwoje doskonale wiemy, że gdyby zależało to od twojej żony, byłbyś już dawno na emeryturze.

Profesor pochylił się ku niej i ujął jej dłonie.

- To wielka szansa, Marianne. Na coś takiego czekałem całe życie.

Jego szczerze, uczciwe spojrzenie zdradzało ufność, że kto jak kto, ale ona zrozumie jego motywację. Istotnie, rozumiała, tyle że zdawała sobie jednocześnie sprawę z przyczyn, dla których ta wyprawa była dla profesora absolutnie niemożliwa.

- Czy wspomniałeś mu chociaż o swoich problemach z oczami?

Profesor Blackwell puścił jej dłonie i odchylił się na oparcie fotela. Na jego twarzy odmalował się smutek. Z całego serca żałowała, że musi sprawiać ból jednemu z najwspanialszych, najbardziej troskliwych ludzi, jakich w życiu spotkała, ale nie znajdowała innego wyjścia. Choć wyprawa do Andowarii byłaby ukoronowaniem jego kariery naukowej, obydwój wiedzieli, dlaczego to marzenie nie mogło się spełnić.

- Twój wzrok jest zbyt słaby, abyś mógł w pełni docenić te dzieła, dlatego powinienś przekazać to zadanie innemu ekspertowi - tłumaczyła łagodnie. - Myślę, że znalazłoby się co najmniej kilku, którzy nadaliby się do tej pracy.

- Inaczej to sobie wyobrażam. - Pokręcił głową. - Powiedziałem, że przywiozę koleżankę...

- Brakuje mi doświadczenia - zaprotestowała natych-

miast. Przede mną jeszcze lata pracy, zanim będę mogła się porwać na coś tak wielkiego.

- Mogłabyś zastąpić moje oczy. Masz wspaniały analityczny umysł, doskonale nam się współpracuje. - Profesor wstał niespodziewanie, strzepując z krawata okruszki ciastka. - Nie rozmawiajmy o tym teraz, poczekajmy do kolacji. Książę dał mi dużo czasu do zastanowienia, nim podejmę ostateczną decyzję.

Do jakiej kolacji? Nie wiedziała, o czym on mówi, ale miała najgorsze przeczucia.

- Wrócimy do tematu po obejrzeniu zdjęć. Podobno jest ich całkiem sporo i chciałbym, żebyś zobaczyła je razem ze mną.

- Po jakiej... kolacji? - wykrztusiła słabym głosem.

- A nic ci nie wspomniałem? - Jego zdziwienie wydało jej się co najmniej podejrzane. - Książę Sebastian zaprosił nas na kolację do hotelu Randall. Na dwudziestą.

Marianne czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

-Nas?

- Oczywiście, że nas. Powiedziałem, że muszę to omówić z moją współpracownicą, i był na tyle uprzejmy, że zaprosił również i ciebie.

- Powiedziałeś, że chodzi o mnie? Z imienia i nazwiska?

Profesor spojrział na nią podejrzliwie.

- Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem, ale jakie to ma znaczenie? Książę Sebastian chce powierzyć tę pracę mnie i mojemu zespołowi, a ja w tym zespole widzę ciebie.

W każdym innym przypadku pokładane w niej zaufanie z pewnością mile polectałoby jej zawodową próż-

ność, ale nie tym razem... Peter nie miał pojęcia, o co tak naprawdę ją prosi, a ona nie zamierzała zdradzać szczegółów historii, którą trzymała przed nim w tajemnicy od dziesięciu lat.

- Po prostu obejrzymy zdjęcia, zjemy kolację i wrócimy do naszego hotelu - podsumował profesor z uśmiechem godnym psotnego dziecka. - A potem porozmawiamy.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Coś było nie tak z tą nową sukienką. Marianne spoglądała na swe odbicie, krytycznie przypatrując się miękkim fałdom delikatnego różowego szyfonu, podkreślającym kobiece kształty jej sylwetki. W jednej chwili przeistoczyła się z poważnego naukowca w elegancką kobietę, ale ciągle coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Może to była obawa, że popełnia drugi co do wielkości błąd swego życia? Nie powinna była w ogóle zgodzić się na tę kolację. Rozsądek nakazywał jej spakować walizkę i złapać pierwszy pociąg do Cambridge, jednak mimo wszystko powędrowała na zakupy i tym sposobem znalazła się w domu handlowym Harvey Nichols, gdzie jej uwagę przykuła piękna różowa suknia. Co gorsza, w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że robiła to wszystko po to, aby Seb spojrzął na nią i natychmiast pożałował swego postępowania. Jak to możliwe, by ceniony naukowiec młodego pokolenia kierował się tak absurdalnymi pobudkami? Wydała połowę oszczędności na zupełnie jej niepotrzebną sukienkę, aby zrobić wrażenie na mężczyźnie, który na każde skinienie mógł mieć tabuny modelek, aktorek

i innych gwiazdek wszelkiego typu. A co będzie, jeśli wystarczy mu jedno spojrzenie, aby dojść do przekonania, że ten starannie przygotowany strój i dodatki są właśnie dla niego? Przecież to żalosne...

Z westchnieniem rezygnacji odwróciła się od lustra, by podejść do szafki nocnej, gdzie w szufladzie trzymała tylko jedną rzecz - medalion w kształcie serca, wykonany z białego złota. Zamknęła go w dłoni i wykonała kilka wdechów dla uspokojenia. Musiała towarzyszyć tego wieczoru Peterowi, nie miała innego wyjścia. Wystarczyło tylko wziąć się w garść i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Że Seb Rodier był zaledwie krótkim, niemal już zapomnianym epizodem w jej życiu

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, więc szybko odłożyła medalion z powrotem do szuflady, a następnie sięgnęła po torebkę i szal w kolorze o ton ciemniejszym od sukienki.

- Wyglądasz przepięknie - pochwalił profesor, wchodząc do pokoju. - Jak zwykle zresztą. Nie dalej jak pół godziny temu rozmawiałem z Elianą. Martwiła się, że nie zapakowałaś niczego odpowiedniego na kolację. Tłumaczyłem jej, że z pewnością jakoś wybrniesz z tej sytuacji, i nie myliłem się.

Uśmiechnęła się lekko. Jak to możliwe, by człowiek tak inteligentny, w dodatku żonaty od czterdziestu jeden lat, był przekonany, że na wszelki wypadek spakowała na konferencję naukową tak strojną sukienkę?

- Jestem bardzo podekscytowany tą kolacją - wyznał.
- Oczywiście, jeśli przyjmę zaproszenie księcia, będę mu-

siał zrezygnować ze wszystkich dotychczasowych obowiązków.

Wyszli na korytarz i stanęli przed wejściem do windy.

- Przecież wybierałeś się na emeryturę. Miałeś wreszcie zacząć spędzać więcej czasu z rodziną, z ukochanymi wnukami...

Profesor uśmiechnął się, wyjmując z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę papieru.

- Rozmawiałem z sekretarzem księcia Sebastiana - sprytnie zmienił temat. - Pytałem o wskazówki co do dworskiego protokołu, na szczęście okazuje się, że książę jest bardzo nowoczesny i nie robi wokół siebie przedstawienia. - Podał jej kartkę. - Zasady wydają mi się proste. Na początku powinniśmy go tytułować „Wasza Książęca Wysokość”, a potem wystarczy zwykle „proszę pana”.

Marianne otworzyła szeroko oczy. Jakoś wcześniej nie przyszło jej do głowy, że będzie musiała do byłego ukochanego zwracać się per „proszę pana”. Szczególnie że miała raczej ochotę użyć określeń, za które spotkałby ją areszt...

Otworzyli wahadłowe drzwi i wyszli na ulicę.

- Jak to dobrze, że po jednym razie możemy zrezygnować z „Waszej Książęcej Wysokości” - cieszył się profesor.

- Wyobrażasz sobie, jak by to było, gdybyśmy musieli powtarzać to co chwilę?

Przebiegła wzrokiem po pierwszych kilku liniach dokumentu. „Proszę poczekać, aż książę wyciągnie rękę na powitanie. Proszę nie inicjować rozmowy, tylko zaczekać na słowa księcia.”

- Doprawdy, to musi być dla niego niesłychanie irytujące, gdy każdy go na powitanie tytułuje „Jego Książęcą Wysokością” - urwał, by gestem zatrzymać zbliżającą się taksówkę. - Choć dyganie może być jeszcze gorsze, ja bym tam nie chciał, żeby podskakiwali przede mną jak marionetki. Na szczęście od mężczyzn żaden niski ukłon nie jest wymagany, wystarczy lekko skłonić głowę, natomiast ty jako kobieta musisz chyba zgodnie z tradycją lekko dygnąć.

Wsiadając do taksówki, Marianne westchnęła cicho. Gdyby tylko profesor zdawał sobie sprawę, czego od niej wymaga... Dygać przed byłym ukochanym, który w dodatku być może w ogóle nie spodziewa się spotkania z nią? Przed człowiekiem, który nawet nie miał tyle cywilnej odwagi, aby osobiście oznajmić swą decyzję o rozstaniu?

Gdy usiedli z tyłu auta, profesor rozpoczął zwyczajową walkę z pasami bezpieczeństwa, bowiem jego problem ze wzrokiem stał się już na tyle poważny, iż przy gorszym oświetleniu nawet najprostsze czynności manualne sprawiały mu trudność. Marianne zerknęła na niego ze współczuciem, a jednocześnie z niedowierzaniem. Skoro nie radził sobie nawet z odczytywaniem swych własnych notatek, jak sobie w ogóle wyobrażał wyprawę do Andowarii, gdzie czekały go średniowieczne mapy i manuskrypty? Przecież w takiej sytuacji narażał się na ryzyko, że pominie jakieś ważne szczegóły, a bezlitosny świat akademicki nie zapomni mu tego do końca życia.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił taksówkarz, zatrzy-

mując się przed frontonem jednego z najbardziej eleganckich londyńskich hoteli.

Tylko zjemy, obejrzymy zdjęcia i wyjdziemy, powtarzała w duchu jak mantrę Marianne, a mimo to raz po raz ciarki przebiegały jej po plecach. Zatem tak wyglądały miejsca, w których zwykł zatrzymywać się Seb. Jakże inne były jej wspomnienia z Francji, gdzie mieszkali w niepozornych hotelikach, a na śniadanie żywili się jeszcze ciepłymi bagietkami, siedząc na trawie w miejskich parkach czy na nadrzecznych bulwarach.

- Ale widok, prawda? - Ruchem głowy profesor wskazał równiusieńki rząd zaparkowanych wzdłuż krawężnika najnowszych modeli sportowych aut, wszystkich bez wyjątku czarnych jak węgiel.

Uśmiechnęła się blado. Już sam widok głównego wejścia, gdzie drzwi otworzyli im portierzy w zdobnych liberiach, napełnił ją chęcią ucieczki. Przekraczając próg, wstąpili do krainy jeszcze większego przepychu. Z wysokiego sklepienia zwisały wielkie lśniące żyrandole, na ścianach wiły się pozłacane girlandy, a cały wystrój tak tchnął luksusem, że niemal zmuszał do zniesienia tonu aż do szeptu.

- Profesor Blackwell i doktor Chambers. Jesteśmy umówieni z Jego Wysokością księciem Andowarii. - Podał kamerdynerowi prostą wizytówkę, którą wcześniej otrzymał od księcia. - Oczekuje nas w apartamencie Oakland.

Marianne spodziewała się, że mężczyzna z pełnym wyższości wyrazem twarzy zakwestionuje ich wiarygodność. Sukienka, która jeszcze przed godziną zdawała jej

się bardzo elegancka, w tych wnętrzach sprawiała wrażenie nie dość szykownej. Postanowiła jednak nie dać się pognać i uniosła dumnie podbródek, aby nabrać pewności siebie.

- Oczywiście, proszę pana - odparł kamerdyner. - Proszę za mną.

Jeszcze więcej zyrandoli. Jeszcze więcej złożonych girland. Na kremowych ścianach wisiały kryształowe lustra w pozłacanych ramach, a między nimi cenne obrazy.

Wzdłuż ścian stały komody na rzeźbionych nóżkach, na nich zaś urzekające kompozycje ze świeżych róż, tak doskonałych, że aż nierealnych.

Marianne czuła się przytłoczona tym przepychem, onieśmielona kontrastem między jej własnym życiem, a luksusami, do jakich najwyraźniej przyzwyczajony był Seb. Ogarniały ją coraz większe wątpliwości, czy książę, którego miała za chwilę spotkać, był aby na pewno tym samym mężczyzną, którego знаła przed laty... Wtedy wydawali się sobie tacy bliscy, teraz zaś dzieliło ich dosłownie wszystko.

Zapukali lekko do drzwi apartamentu. Otworzono im natychmiast i zaproszono do środka, gdzie zajął się nimi kolejny kamerdyner. Wszystko to podziałało na nią jeszcze bardziej onieśmielająco, więc gdy stanęła w drzwiach gustownie urządzonego salonu, z trudem mogła oddychać. Największe wrażenie zrobił na niej ustawiony w rogu fortepian. Ciekawe, czy rzeczywiście ktoś z gości na nim grywał...

- Czyż to nie jest niezwykle miejsce? - entuzjasmował się profesor, podchodząc do szklanych drzwi, których

szpaler zajmował jedną ze ścian. - Tu jest nawet taras, zerknij tylko.

Marianne nie była jednak w stanie zrobić nawet kroku, wiedziała bowiem, że jeśli spróbuje się choć ruszyć, niechybnie ugną się pod nią kolana. Nigdy w życiu nie czuła się tak przerażona, a jednocześnie oszołomiona, zdenerwowana i urażona.

Zza drzwi dobiegły ich stłumione głosy, więc szybko przybrała uprzejmy, a zarazem obojętny wyraz twarzy, by w najmniejszym stopniu nie dać po sobie poznać, jak ogromne targają nią emocje.

- Profesorze Blackwell. - Seb podszedł z wyciągniętą do powitania ręką. - Niezmiernie mi miło, że zechciał pan przyjąć moje zaproszenie.

Jeszcze nigdy nie widziała go na żywo w smokingu. Owszem, oglądała jego niezliczone zdjęcia z różnych królewskich uroczystości, ale żadna fotografia nie była w stanie oddać stanu rzeczywistego. Wyglądał bowiem nie tylko doskonale, ale wręcz oszałamiająco. Starła się obserwować go w miarę dyskretnie, przy czym jej uwagi nie uszedł nawet najdrobniejszy szczegół. Ani drobna szrama nad łukiem brwiowym, stanowiąca pamiątkę po upadku ze skutera. Ani też fakt, że jego silne, szerokie ramiona wydawały się po latach jeszcze szersze i silniejsze. Zdradliwa wyobraźnia podsuwała jej obrazy, których nie powinna pamiętać. Perfekcyjnie skrojony smoking ukrywał piękne, muskularne ciało, które kiedyś bez ograniczeń oglądała, także usytuowane parę centymetrów nad lewą kością biodrową znamię, które tyle razy całowała...

- Wasza Książęca Wysokość - dobiegł ją głos profesora.
- Chciałbym przedstawić moją współpracownicę, doktor Marianne Chambers.

Marianne na moment zamknęła oczy i przełknęła ślinę. Teraz już nie było odwrotu.

- Wasza Książęca Wysokość - wykrztusiła z najwyższym trudem.

Jednocześnie nie dygnęła, choć nie zrobiła tego umyślnie, po prostu nogi wydawały jej się zbyt sztywne, by mogła zmusić je do najmniejszego ruchu.

- Doktor Chambers. - Wyciągnął ku niej rękę, ona zaś po chwili wahania odwzajemniła uścisk dłoni. - Wiem od profesora Blackwella, że specjalizuje się pani w okresie Trzeciej Krucjaty.

- To prawda. - Skinęła głową.

- Dziękuję, że była pani uprzejma przyjąć zaproszenie w ostatniej chwili.

To powiedziawszy, odwrócił się do profesora. Zachowywał się, jak gdyby byli sobie całkowicie obcy, co niezwykle ją zirytowało. Miała ochotę zaprotestować głośno, nie starczyło jej jednak odwagi.

- Pozwolą państwo, że przedstawię doktora Leibnitza, kuratora Muzeum im. Księżniczki Elizabeth.

Dopiero w tym momencie Marianne spostrzegła niepozornego mężczyznę, stojącego w milczeniu za jego plecami.

- Jestem zaszczycony - zwrócił się do profesora. - Miło mi też poznać panią, doktor Chambers. Czytałem pani niezwykle ciekawą i inspirującą pracę na temat bitwy pod Hattin.

- Bardzo dziękuję. - Uśmiechnęła się, zaskoczona niespodziewanym komplementem.

Przez cały czas czuła na sobie wzrok Sebastiana. Korciło ją, by się odwrócić, spojrzeć na niego choćby przelotnie, ale postanowiła oprzeć się pokusie, koncentrując się na wypowiedzi profesora, który gładko przeszedł na niemiecki. Jej znajomość tego języka była nieco gorsza, ale była w stanie podążać za tokiem rozmowy, a nawet brać w niej od czasu do czasu udział. Nie uszło również jej uwagi, że profesor Blackwell odkrył w Leibnitzu bratnią duszę. Ku jej zaskoczeniu, także i Seb włączył się do dyskusji, komentując ze znanstwem kwestię obłączenia twierdzy Acre. Tak się zdziwiła jego pogłębioną wiedzą na ten temat, że nieopatrznie odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ostatnie badania Marianne skupiają się na roli kobiet w tym okresie - pochwalił profesor. - Oczywiście, większość tekstów źródłowych pisana była przez mężczyzn...

- I dla mężczyzn - wtrąciła z kwaśnym uśmiechem. - Ale tym bardziej fascynująca jest moja praca. Ostatecznie od zawsze wojny toczyli mężczyźni, ale ich konsekwencje ponosiły głównie kobiety, Trzecia Krucjata niewiele się pod tym względem różniła.

Seb cofnął się dyskretnie o pół kroku, przysłuchując się z uwagą dyskusji. Nie był pewien, co bardziej go zaskoczyło - poziom znajomości niemieckiego u Marianne, czy może respekt, z jakim pozostali naukowcy przyjmowali jej opinie. Przed dziesięciu laty planowała poświęcić się studiowaniu literatury angielskiej, ciekaw był zatem, co spr-

wiło, iż zmieniła zamiar.

Pamiętał aż za dobrze, jak lubił ją niegdyś prowokować do mówienia po niemiecku, uwielbiał bowiem jej niezwykle akcent i fatalną wymowę, po której teraz nie zostało ani śladu. Ogólnie rzecz biorąc, znajdował w niej podobieństwa do owej dziewczyny sprzed lat, nie sposób jednak było nie dostrzec, jak bardzo się zmieniła. Suknia, którą miała na sobie tego wieczoru, podkreślała krągłości jej kobiecej sylwetki, jeszcze bardziej ponętnej niż przed dekadą. Wciąż była piękna, nawet piękniejsza niż kiedyś. Z jakiegoś powodu sprawiała jednak wrażenie zdenerwowanej, a przynajmniej sugerowała to siłą, z jaką ścisnęła w rękę niewielką torebkę. Z pozoru zdawała się opanowana, chłodna, trzymająca na wodzy emocje, wystarczyło jednak przyjrzeć się uważnie jej mowie ciała, by odgadnąć, że coś ją trapiło. Nie chciała z nim rozmawiać tego ranka i gotów był się założyć, iż niechętnie przyjęła zaproszenie na tę kolację. Serce ścisnęło mu się boleśnie. Niewątpliwie skrzywdził ją przed laty i nie było dnia, by tego nie żałował. Z pewnością nie było to jego zamiarem, tak jak w ogóle nie było jego zamiarem nic więcej jak zwykła pogawędka, gdy się poznali.

Wszyscy czworo podróżowali wtedy po Francji, więc wydało mu się dobrym pomysłem, by połączyć siły i wędrować razem. Przynajmniej tak wtedy tłumaczył to swemu szkolnemu przyjacielowi. W przeciwieństwie do niego Nick wykazał się większą zdolnością przewidywania, przekonywał, by przedłużyli pobyt w Amiens, przez cały czas napominał, by Seb wyobraził sobie, co by mieli na

ten temat do powiedzenia jego rodzice. Tego ranka Marianne oskarżyła go o kłamstwo i im dłużej o tym myślał, tym bardziej wstydził się swego postępowania. Zdecydowanie był jej winien wyjaśnienia, tylko nie bardzo miał jak je przedstawić. Wprawdzie profesor Blackwell i doktor Leibnitz byli pogrążeni w rozmowie, ale trudno było zakładać, że nie usłyszą, o czym się mówi w drugim krańcu pomieszczenia. Zrezygnowany skinął więc głową w kierunku lokaja, który otworzył drzwi do kameralnej jadalni. Towarzystwo sprawnie przeszło do stołu, a gdy siadali, Seb sprytnie zaproponował, by naukowcy zajęli miejsca obok siebie, tak aby było im łatwiej kontynuować dyskusję, dzięki czemu mógł znaleźć się w sąsiedztwie Marianne.

Zastanawiał się, jak to możliwe, by tak piękna, czarująca kobieta pozostawała niezamężna, a przynajmniej tak można było wnioskować z braku obrączki.

- Pani znajomość niemieckiego jest doskonała, doktor Chambers - odezwał się w końcu.

Marianne spojrzała na niego zaskoczona.

- Dziękuję - wykrztusiła.

- Gdzie się pani go nauczyła?

- Dziękuję za wino, poproszę tylko o wodę - zwróciła się do lokaja, który podszedł do niej z karafką.

- Ma pani świetną wymowę - nie ustępował. - Proszę zdradzić, jak pani nad nią pracowała.

- Eliana, żona profesora Blackwella, jest Austriaczką, pochodzi z Salzburga.

Zmarszczył brwi, bo jakoś trudno mu było pojąć, co ma jedno z drugim wspólnego.

- Mieszkałam z profesorem i jego rodziną, kiedy...
Kiedy byłam młodsza - dorzuciła szybko.

Był gotów przysiąc, że miała zamiar powiedzieć coś zupełnie innego, ale nie wiedział co. Kiedy skończyła studia? Kiedy podjęła pracę? A może kiedy wróciła z Paryża? Zdecydowanie nie mieszkała z Blackwellami przed podróżą do Francji, pamiętał, jak opowiadała mu o rodzinnym domu w Suffolk.

- Eliana i Peter są przyjaciółmi mojej ciotki, siostry ojca - dodała tonem wyjaśnienia.

- Czy to pod jego wpływem zdecydowała się pani studiować historię? - zapytał, zerkając na profesora, pogrążonego w dyskusji o specyficznej konstrukcji dwunastowiecznych mieczy.

- Jego entuzjazm jest zaraźliwy. - Uśmiechnęła się lekko.

Nie miał wątpliwości, że to prawda, ale intuicja podpowiadała mu, iż kryło się za tym znacznie więcej, niż chciała zdradzić. Przed dziesięciu laty jej największym marzeniem było pisanie sztuk równie pasjonujących jak te szekspirowskie. Wyzaczyła sobie nawet ambitny cel przeczytania wszystkich dzieł Czechowa i Ibsena jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego, cóż więc mogło tak naprawdę skłonić ją do zmiany planów?

- Wiele o nim słyszałem i zupełnie się temu nie dziwię - zawiesił głos, bo kelner stawiał właśnie przed nim pięknie podany na talerzu pasztet z gęsich wątróbek, polany aromatycznym sosem grzybowym. - To z tego powodu moja siostra uparła się, że mam go przekonać do przyjazdu do Andowarii.

- Siostra?

- Wiktoria. Muzeum noszące imię naszej babci, księżniczki Elizabeth, jest jej oczkiem w głowie.

Księżniczka Wiktoria również była jej znana ze stron kolorowych czasopism. Wysoka, elegancka kobieta, zamężna z równie wysokim, dystyngowanym członkiem arystokratycznego rodu.

- Ale jeśli większość zbiorów dotyczy rycerzy zakonu krzyżackiego, byłyby one szczególnie interesujące dla profesora Adlera - zasugerowała ostrożnie.

- To prawda. - Seb sięgnął po kieliszek z winem. - Uznaliśmy jednak, że profesor Blackwell bardziej je doceni.

Przystawki niemal niezauważalnie ustąpiły miejsca głównemu daniu, które stanowiła przepiórka ze szparagami i bekonem, po niej zaś na stół wjechał deser, czyli przepyszne lody polane gęstym sosem czekoladowym. Delektując się lodami, Marianne musiała w końcu przyznać w duchu rację Sebastianowi, profesor rzeczywiście był najlepszym kandydatem do tego zadania, jeśli wzięło się pod uwagę jego wiedzę i doświadczenie. Gdyby tylko nie te kłopoty ze wzrokiem... Zerknęła na zarumienioną od ożywionej dyskusji twarz Blackwella. Nie był w stanie oprzeć się tej pokusie, byk o tym święcie przekonana. Jeśli zaś on jechał do Andowarii, ona musiała mu towarzyszyć, choćby nie wiadomo jak było to dla niej bolesne. Była to winna zarówno jemu, jak i Elianie po tym wszystkim, co dla niej zrobili. Przyjęli ją pod swój dach, przerażoną ciężarną osiemnastolatkę, wyrzuconą przez rozczarowaną matkę. Wszystko dobre, co od tamtej pory

jej się przydarzyło, zawdzięczała właśnie im.

Spojrzała dyskretnie w kierunku Sebastiana. Emanował pewnością siebie, charyzmą i urokiem osobistym, nie miał pojęcia, jaki los jej zgotował. Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że gdy ją zostawił we Francji, nosiła pod sercem ich dziecko? Czy kiedykolwiek zastanawiał się, co się z nią stało? A może wrócił do Andowarii, do swych książęcych obowiązków, nie obejrzawszy się ani razu za siebie? Jak wyglądałaby teraz ich rozmowa, gdyby Jessica żyła?

Choć brzmiało to okrutnie, natura uczyniła to, co najlepsze w tej sytuacji, bowiem w wieku lat osiemnastu Marianne nie była przygotowana ani do ciąży, ani do macierzyństwa. Logicznie rzecz ujmując, ostatecznie stało się dobrze, ale jej sercu trudno było to zaakceptować. Eliana rozmawiała z nią o tym godzinami, starała się pomóc Marianne poradzić sobie z emocjami, na które ta w wieku lat osiemnastu była całkowicie nieprzygotowana. Najpierw z nieplanowaną ciążą, potem z postawą matki, dla której „upadek” idealnej jak dotąd córki był faktem nie do zaakceptowania, aż w końcu ze śmiercią nienarodzonego jeszcze maleństwa oraz długim, z góry skazanym na niepowodzenie porodem. Kątem oka zerknęła na Jego Książęcą Wysokość księcia Sebastiana. Eliana wiele razy powtarzała jej, że każdy, nawet najbardziej podły mężczyzna ma prawo wiedzieć, że zostanie ojcem. Seb nie miał pojęcia, iż za jego sprawą powstała mała istotka. Wielokrotnie zastanawiała się, czy wyznałaby mu kiedykolwiek prawdę, gdyby Jessica doczekała terminu poro-

du. W wieku osiemnastu lat Marianne zapierała się, że nigdy w życiu, ale przemawiała przez nią wówczas zraniona duma, jako że w prasie ukazały się właśnie pierwsze zdjęcia przystojnego następcy tronu księstwa Andowarii z przepiękną czarnowłosą narzeczoną u boku. Teraz jednak, siedząc z nim przy jednym stole, nie wykluczała, że może kiedyś o wszystkim mu opowie...

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Fotografie były wprost niewiarygodne, znacznie bardziej fascynujące, niż Marianne się spodziewała.

- Coś niesamowitego! - wykrzykiwał raz po raz profesor. - To niezwykle. I pomyśleć, że to wszystko tkwiło w ukryciu...

- Póki nie rozpoczęliśmy odnawiania tej części zamku, nikt z nas nawet nie podejrzewał, że są tam jakieś pomieszczenia.

- Czy nic nie zostało jeszcze skatalogowane?

- Nic. - Pokręcił głową doktor Leibnitz. - Jak do tej pory udało nam się zrobić pobieżną inwentaryzację, ale jeszcze niczego nie usystematyzowaliśmy.

- Marianne? Co o tym sądzisz? - Głos profesora wyrwał ją z zamyślenia.

- Myślę, że to niewyobrażalnie wielkie zadanie, a jednocześnie ogromna odpowiedzialność.

- Zadanie dla całego zespołu - uściślił Blackwell.

- Mamy nadzieję, że podejmie się pan stworzenia i poprowadzenia takiego zespołu - wyznał Seb, siadając na jednym ze stylowych krzeseł. - Chcemy panu dać całkowicie wolną rękę w kwestii doboru współpracowników.

- Ale czemu ja?

- Bo cieszy się pan najwyższym szacunkiem w kręgach akademickich.

- Nie ja jeden - zauważył profesor, wyrażając tym samym wątpliwości, które nurtowały również jego współpracownicę, Marianne.

- Andowaria jest niewielkim księstwem. Większym niż Liechtenstein czy Monako, ale nieporównywalnie mniejszym niż Austria i Szwajcaria. Ogromna liczba odnalezionych przez nas zbiorów nasuwa podejrzenia, że nie wszystkie prawnie należą do Andowarii.

- Nie pierwszy raz w historii zdarza się coś takiego.

- Owszem - przyznał Seb z uśmiechem, który w jednej chwili przypomniał Marianne, czemu w ogóle namawiała przed laty swą przyjaciółkę Beth, aby kontynuowały swą wędrówkę w towarzystwie chłopców. - Mojej siostrze zależy przede wszystkim na tym, żeby zbiory przetrwały w jak najlepszym stanie dla przyszłych pokoleń, ale w moim przypadku najważniejsza jest Andowaria. Zamierzam dołożyć wszelkich starań, by wszystko to, co do niej należy, pozostało w jej granicach. Aby tak się stało, muszę mieć pewność, że na czele zespołu badawczego stoi osoba, której zainteresowanie tymi zbiorami jest ściśle naukowe. Pan, profesorze, nie korzysta z żadnych państwowych stypendiów ani nie działa pan aktywnie na rzecz żadnego z muzeów.

Marianne czuła, że w tym momencie decyzja o wyjeździe do Andowarii została definitywnie przesądzona. Jak profesor mógłby nie przyjąć takiej propozycji? Ona zaś nie była w stanie przywołać żadnych merytorycznych argumen-

tów, aby go od tego pomysłu odwieść, jej racje bowiem nie dotyczyły kwestii naukowych czy też nawet praktycznych. Uniosła drżącą rękę, by pomasować obolałą skroń. Nie mogła odmówić wyjazdu, natomiast nie wiedziała, jakim cudem znajdzie w sobie dość odwagi, aby się tam wybrać. A może to los dawał jej szansę ostatecznego zamknięcia trwającego od dziesięciu lat rozdziału jej życia? Może wyprawa do rodzinnego kraju Sebastiana była właśnie tym, czego potrzebowała?

- Marianne, dobrze się czujesz? - zaniepokoił się profesor, przerywając rozmowę z dr. Leibnitzem.

- Trochę boli mnie głowa - skłamała, zmuszając się do uśmiechu. - Nic poważnego.

- Może powinna pani zaczerpnąć świeżego powietrza - zasugerował Leibnitz. - Jeśli pani chce, mogę z panią wyjść na taras.

- Nie, dziękuję, na pewno zaraz mi przejdzie. Seb niespodziewanie podniósł się z krzesła.

- Wy sobie tu jeszcze porozmawiajcie, Max, a ja do-
trzymam towarzystwa pani doktor Chambers - oznajmił.

- Sam chętnie przejdę na taras, trochę tu jednak duszno.

- O, nie, nie... - zaprotestowała chyba zbyt gwałtownie.

- Dziękuję, ale...

- Jest tu naprawdę piękny taras - wpadł jej w słowo. - Rozciąga się z niego wspaniały widok na Green Park. Ile-
kroć jestem w Londynie, zawsze proszę o ten apartament właśnie z powodu tego widoku.

Gestem wskazał na przeszklone drzwi, więc niechętnie ustąpiła. Minęła go, starając się w ogóle nie patrzeć w je-

go kierunku, choć wiedziała, iż prędzej czy później będzie musiała przestać odwracać wzrok. Leciutki wietrzyk poruszał rąbkiem jej zwiewnej sukienki, ale wieczór był ciepły i przyjemny. Lekki dreszcz, przebiegający jej raz po raz po plecach, nie miał nic wspólnego z panującą na zewnątrz temperaturą.

- Zimno ci? - przejął się Seb. - Masz może jakieś okrycie? Jeśli tak, poprosiłbym Warnera, żeby ci je przyniósł.

- Warnera?

- Pełni dziś obowiązki kamerdynera.

Zupełnie zapomniała, że kamerdynerzy, lokaje i inni służący byli nieodłączną częścią jego świata. Zaskakujące było tylko, że zadawał sobie trud zapamiętywania nazwisk tych, którzy obsługiwali go w hotelach.

- Mam szal, ale dziękuję, nie będzie mi chyba potrzebny. Miło jest czuć na skórze powiew wiatru.

Rozejrzała się dokoła. Taras był nieduży, ale starannie zaprojektowany, zaś widok, jaki się z niego rozciągał, rzeczywiście zapierał dech w piersiach. Po dłuższej chwili kątem oka spostrzegła, że Seb ją obserwuje, co speszyciło ją jeszcze bardziej.

- To niesamowite - wykrztusiła, ruchem głowy wskazując na pięknie oświetlony park.

Przysunął się nieco bliżej, tak że wietrzyk niósł prosto w jej nozdrza zapach jego wody kolońskiej.

- Co takiego? Taras, krajobraz, czy może fakt, że znów się spotkaliśmy?

Poczuła ucisk w gardle. Coś kazało jej się odwrócić i zajrzeć mu w oczy.

- Wszystko jednocześnie.

Przez dłuższą chwilę milczał, aż wreszcie na jego twarz wypłynął uśmiech, który jak zawsze ją oczarował. Czemu inni mężczyźni mogli się do niej uśmiechać, a ona na ich widok nie czuła kompletnie nic, podczas gdy on wywoływał nieodmiennie w jej sercu drżenie?

- Nie dygnęłam - oznajmiła z dumą, jak gdyby chciała ratować w ten sposób resztki poczucia własnej godności.

- Proszę? - zdziwił się.

- Nie dygnęłam przed tobą podczas powitania.

- Zdaje się, że ten etap mamy już dawno za sobą - roześmiał się. - Szczególnie w sytuacjach prywatnych.

- Publicznie też nie zamierzam dygać. - Podniosła wysoko brodę. - Czy spodziewałeś się mnie dziś wieczorem?

-Tak.

Bardzo chciała się dowiedzieć, jak się czuł ze świadomością, że znów się spotkają, ale nie miała odwagi pytać.

- Peter nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co ci powiedział, czy wymienił moje nazwisko, czy po prostu wspomniał o współpracownicy - wyjaśniła. - Czy byłeś zdziwiony, gdy okazało się, że chodzi o mnie?

- Bardzo.

Po tonie jego głosu domyśliła się, że się uśmiechnął, więc zaryzykowała spojrzenie w jego kierunku. To był błąd. Gdy zajrzała w te boleśnie znajome oczy, powróciły wspomnienia...

- Spodziewałem się, że mogę cię spotkać na konferencji, ale przez myśl mi nie przeszło, że profesor Blackwell

uzależni decyzję o przyjeździe do Andowarii od ciebie. Mimo że to dla mnie utrudnienie, cieszę się, że w tak krótkim czasie wypracowałaś sobie na tyle mocną pozycję.

Stał tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Gdyby się lekko wychyliła, mogłaby się do niego przytulić... Do oczu napłynęły jej łzy.

- A więc co o tym sądzisz? - przerwał jej rozmyślenia.

- O czym? - nie zrozumiała.

- O wyprawie do Andowarii. Masz męża, który zatrzyma cię w Anglii? Rodzinę?

- Nie mam męża.

- Może narzeczonego?

A to akurat zupełnie nie twoja sprawa, pomyślała buńczucznie. Posłała mu takie samo spojrzenie, jakim mierzyła każdego, kto śmiał kwestionować jej umiejętność logicznego myślenia tylko dlatego, że była dwudziestoosmioletnią blondynką.

- Przecież to nie jest tak daleko, samolotem leci się niewiele ponad godzinę - przypomniała. - Jeśli profesor zdecyduje się przyjąć zaproszenie, przyjadę razem z nim. Ostatecznie dla mnie to też wielka szansa rozwoju zawodowego.

- A rozwój zawodowy jest dla ciebie ważny - domyślił się.

- Kto wie, czy nie najbardziej.

Przez chwilę przypatrywał jej się w milczeniu, a potem zapytał:

- Jak myślisz, czy profesor się zgodzi?

- Na pewno cię powiadomi, gdy podejmie decyzję.

- A ty czego się spodziewasz? Jest ci obojętne, jakiego wyboru dokona?

-Tego nie powiedziałam... – Wbiła wzrok w marmurową posadzkę.

-Marianne... Musimy porozmawiać.

- Przestań! - syknęła. - To nie jest najlepsze miejsce ani czas.

- Lepszego możemy nie mieć. Zresztą odniosłem wrażenie, że Max i profesor Blackwell wcale nie potrzebują naszego towarzystwa.

- Pewnie masz rację - westchnęła z rezygnacją, drżąc lekko w wieczornym wietrze. - A zatem co chcesz mi powiedzieć?

- Zmarzaś - zauważył z troską w głosie. - Gdybyśmy byli całkowicie sami, oddałbym ci marynarke.

Niespodziewanie jej oczy zalśniły niebezpiecznie, zapewne z gniewu.

- Cóż za wspaniała propozycja, Wasza Księżęca Wysokość - wypaliła z drwiną w głosie.

Dopiero po chwili zrozumiał, skąd w niej ten nagły wybuch gniewu. Zapewne przypomniała sobie pewien wieczorny spacer po parku, gdy pocałowali się po raz pierwszy. Wyglądała wtedy tak pociągająco w jego bluzie z podwiniętymi rękawami.

Jakże wtedy był szczęśliwy. Czuł się wolny jak nigdy przedtem i nigdy później. Tego lata rodzina zawarła umowę z dziennikarzami, którzy zgodzili się nic nie pisać o jego prywatnym życiu, i jakimś cudem rzeczywiście dali mu całkowity spokój na czas wakacji. Nie musiał znosić towarzystwa ochrony, nie miał żadnych obowiązków,

mógł robić dokładnie to, co chciał. A chciał spędzać jak najwięcej czasu z Marianne...

Pragnąc choćby na moment oderwać się od wspomnień, zajrzał do salonu i przywołał kamerdynera.

- Czy mogę prosić o przyniesienie okrycia doktor Chambers?

- Oczywiście, proszę pana - odparł tamten z ukłonem.

- Czy coś jeszcze?

- Poprosimy o butelkę tego doskonałego białego wina i dwa kieliszki. - Odwrócił się ponownie do Marianne.

- Może usiadziemy?

Przez chwilę się wahała, ale ostatecznie przystała na tę propozycję. Usiadła tak, by widzieć raczej park niż swego towarzysza, zaś jej sztywno wyprostowane plecy i splecione mocno dłonie zdradzały zdenerwowanie. Seb przesunął krzesło tak, aby móc ją obserwować. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, bo zupełnie nie miał pomysłu, od czego powinien zacząć. W wieku lat dziewiętnastu był do tego stopnia oszołomiony wszystkim, co się wokół niego działo, iż jakimś cudem zdołał wymazać z pamięci obraz czekającej na niego w Paryżu Marianne. Pozwolił się przekonać, że nie było dla niej miejsca na liście jego priorytetów. Jak na kogoś, kto przez całe życie starał się zadowolić wszystkich dokoła, popełnił spektakularną wręcz pomyłkę. Nic dziwnego, że gdy się spotkali ponownie, przyznała, iż przez te wszystkie lata myślała o nim jak o draniu i kłamcy. Mimo to jednak nie sprzedała prasie swojej historii, nie ukazała się ani jedna fotografia z ich wspólnej wyprawy, choć nie przypuszczał, by jakikolwiek dziennikarz czy wydawca wzbraniał się przed jej

publikacją.

Za opowieść o wakacyjnym romansie z następcą tronu zarobiłaby krocie, a mimo wszystko nie zniżyła się do takiego poziomu. Była młodą, zranioną dziewczyną, ale zachowała klasę, jakiej on sam nie okazał.

- Jak się miewa Nick? - zaskoczyła go pytaniem. - Nadal utrzymujesz z nim kontakt? A może to był ochroniarz, a nie najlepszy przyjaciel, jak mi wtedy wmawiałeś? Robił, co mógł, żeby nas rozdzielić, może to właśnie było jego zadanie?

- Jesteśmy wciąż dobrymi przyjaciółmi. Jeśli chodzi o ścisłość, Nick od samego początku powtarzał, że powinienem ci się przyznać, kim jestem. Od czasu śmierci jego ojca rzadziej się widzimy...

- A jak on się naprawdę nazywa? Arcyksiążę Mkoiaus?
- mruknęła z drwiną w głosie.

-Marianne...

- Bardzo przepraszam, czyżbym była zbyt dociekliwa? - zirytowała się.

- W kwietniu został piętnastym księciem Aylesbury...

Utkwiła spojrzenie w swych kremowych, opalizujących paznokciach. A więc Nick był również księciem?

Czemu ją to jeszcze dziwiło? Skoro Seb Rodier był Jego Wysokością księciem Sebastianem II, Nick Barrington musiał się okazać kimś o równie długim tytule.

- A jak się miewa Beth? - zapytał dla rozładowania atmosfery.

- Chętnie bym ci oznajmiła, że od tego czasu została baronową Basingstoke, ale niestety tak się nie stało. Jak widzisz, myśmy niczego przed wami nie udawały.

- Czy została ostatecznie prawniczką, jak to sobie zaplanowała?

- Tak - wykrztusiła z trudem, kompletnie zbита z tropu faktem, iż po dziesięciu latach pamiętał o zamierzeniach jej przyjaciółki, z których zwierzyła mu się jeden jedyny raz podczas pierwszego dnia ich znajomości.

Zupełnie nie pasowało jej to do obrazu bezwzględnego, kłamliwego osobnika, jaki w sobie wypracowała przez te wszystkie lata. - Wyszła za lekarza anestezjologa i za parę miesięcy ma się urodzić ich pierwsze dziecko.

- To wspaniale.

- Owszem, jest bardzo szczęśliwa...

Odwróciła się, słysząc cichutkie skrzypnięcie tarasowych drzwi. Stał w nich kamerdyner, trzymając w ręku jej szal.

- Dziękuję - rzekła z lekkim zażenowaniem, gdy pomógł jej okryć nim ramiona. Choć zdawała sobie sprawę, że należy to do jego służbowych obowiązków, poczuła się nieswojo. Nie przywykła, by ktoś jej usługiwał.

- Dziękuję za wino, ale nie będę go pić - odezwała się, gdy kamerdyner zniknął. - Alkohol nie jest dobry na ból głowy.

- To zależy od przyczyny bólu - zauważył roztropnie, sięgając po swój kieliszek. - Radzę ci się dobrze zastanowić, to wino jest znacznie lepsze niż tamto, które pijaliśmy razem we Francji.

Nie chciała wspominać wspólnych chwil, bo obawiała się, że w ten sposób niewidzialna zbroja, jaką otoczyła swe serce, będzie stawała się coraz cieńsza, aż w końcu całkiem zniknie. Chciała wciąż mieć do niego żal, w ten sposób

czuła się bardziej bezpieczna. Mimo to nie potrafiła powstrzymać wypływającego na twarz uśmiechu, więc by go zatuszować, sięgnęła po kieliszek. Istotnie, wino było doskonałe, lekkie i aromatyczne, o delikatnym cytrynowym posmaku.

- Rzeczywiście, bardzo dobre - przyznała.

- Ale nie tak dobre jak nasza whisky? - Uśmiechnął się serdecznie.

- Nie - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Nic nie mogło się równać z ową whisky, którą pili pewnego wieczoru we Francji. Pierwszy raz w życiu smakowała wtedy whisky i kochała się także po raz pierwszy...

- Jak długo czekałaś na mnie w Paryżu?

- Niedługo. Pani Merchand chciała, bym rozpoczęła pracę wcześniej, niż planowaliśmy, więc zatelefonowałam i powiedziałam, że mogę zacząć od razu. Skoro nie dzwoniłeś, wydawało mi się to dobrym rozwiązaniem.

- Ale nie byłaś u nich szczęśliwa?

Podniosła spojrzenie znad kieliszka, zaskoczona tym pytaniem.

- Wiem, że wyjechałaś wcześniej, niż zostało to ustalone.

Jak to możliwe, że o tym wiedział? Przypatrywała mu się w milczeniu szeroko otwartymi oczyma.

- W końcu próbowałem się z tobą skontaktować. Niestety, za późno. Pan Merchand poinformował mnie, że przed paroma tygodniami wróciłaś do domu.

O tym nie miała najmniejszego pojęcia. Była to kolejna skaza na wizerunku drania doskonałego...

- Skróciłam pobyt o niemal dziewięć tygodni.

- Dlaczego? Wolałaś poszukać innej rodziny?

Jego pytania stawały się coraz bardziej dociekliwe, podczas gdy Marianne miała coraz mniejszą ochotę na nie odpowiadać.

- Wróciłam do domu - przyznała niechętnie. - Beth została w Hornfleur rok, a ja...

Urwała na myśl o przyczynach, dla których powróciła wtedy do kraju, a także o tym, co się stało później.

- Tęskniłaś za rodziną?

- Po prostu musiałam wracać - odparła wymijająco.

Starła się nie analizować informacji, że jednak próbował nawiązać z nią kontakt, nie chciała bowiem zmieniać o nim dawno już utrwalonej opinii. Zresztą, miał przecież jej adres w Anglii, mógł się z nią skontaktować w każdej chwili. Nawet gdy przeniosła się do Blackwellów, nie było trudno jej wytropić, szczególnie że matka tak bardzo chciała poznać tożsamość ojca dziecka swej marnotrawnej córki, iż niewątpliwie natychmiast przekazałaby każdemu mężczyźnie jej numer telefonu.

- Czemu nie zadzwoniłeś do mnie do domu?

- Za wszelką cenę chciałem uniknąć rozmowy, którą musielibyśmy odbyć - przyznał po dłuższej chwili wahania. - Czułem się poniekąd zwolniony z tego obowiązku, skoro i tak wyjechałaś z Francji.

Cóż, przynajmniej był szczery... Do pewnego stopnia nawet go podziwiała za umiejętność przyznania się do tak nieodpowiedzialnego postępowania.

- Mogłeś chociaż napisać. Naprawdę się o ciebie niepokoiłam.

Pokręcił przecząco głową.

- Odradzono mi to. Zakazano kontaktowania się z tobą w formie pisemnej...

- Dlaczego? - wyrwało jej się, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. - Myślałeś, że sprzedam twój list? Ty draaniu! Ty nadęty...

- Marianne, uspokój się. To nie był mój pomysł, nie mogłem sam podejmować takich decyzji, a doradcy... Cóż, oni cię przecież nie znali. Musieli zakładać najgorsze. Taka ich rola.

- Ale ty mnie znałeś! - Z trudem poskromiła chęć wyłania mu na głowę tego, co jeszcze zostało w kieliszku.

- Powinieneś być wiedzieć, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła!

- Zachowałem się jak tchórz - wpadł jej w słowo. - Powiniennem być pojechać do Anglii i osobiście opowiedzieć ci o wszystkim, co się w tym czasie działo w moim życiu. Gdybym był wtedy starszy, miałbym więcej do powiedzenia w sprawie własnego losu...

Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o tym, że ich krótki, aczkolwiek niesłychanie romantyczny związek był omawiany przez grupę bezdusznych doradców, w oczach których była niczym więcej jak problemem, którego się należało pozbyć.

- Marianne... - szepnął Seb, widząc łzę spływającą po jej policzku. - Tak mi przykro...

- Bardzo możliwe. - Podniosła się niespodziewanie.

- Chyba mi już wystarczy twoich wyjaśnień. Tobie jest przykro, mnie jest przykro, więc zakończmy ten temat, dobrze?

- Nie powiedziałem ci jeszcze, co się stało, gdy dotarłem do domu...

- A co możesz mi powiedzieć na ten temat nowego? Zapominasz chyba, że wiem o tobie niemal wszystko, jesteś stałym gościem rubryk towarzyskich w popularnej prasie. Tuż po ślubie z Amelie Saxe-Broden stałeś się władcą Andowarii. Przecież widziałam relacje.

- Było trochę inaczej - zaprotestował lekko.

- A jak było? Wasza izba turystyki uznała, że można by wypuścić serię pamiątek z wytworzonego książęcego ślubu? A może poczta miała chęć wydrukować okolicznościowe znaczki?

Gdyby podniósł na nią głos, natychmiast odwróciłyby się na pięcie i przeszła z powrotem do salonu, tymczasem on milczał, natomiast jego mowa ciała świadczyła o tym, że Marianne trafiła w jego czuły punkt. Nagromadzony od lat gniew opuścił ją w jednym momencie, tak jak powietrze opuszcza dziurawy balon. Przecież Seb nie miał pojęcia o istnieniu Jessiki, choćby więc bardzo chciała oskarżyć go o pozostawienie jej samej z konsekwencjami ich przelotnego romansu, nie było uczciwe zarzucać mu rozmyślne działanie. Poza tym naprawdę chciała wiedzieć, dlaczego ją porzucił. To właśnie niewiedza w tej sprawie była przyczyną tego, że od tamtej pory nie zdołała wejść w żaden związek.

- Zostałem wezwany do domu, ponieważ ojciec ciężko zachorował - zaczął z wyraźnym trudem.

- Wiem - przypomniała.

Przecież powiedział jej o tym sam, jeszcze przed wyjazdem, dlatego nawet pomagała mu się pakować, bo to

była jedyna rzecz, jaką mogła dla niego zrobić. Czyżby już o tym zapomniał?

- Wykryto u niego guz mózgu.

To także wiedziała. Śmierć księcia Franciszka Józefa była szeroko omawiana we wszystkich mediach, szczególnie że nastąpiła zaledwie parę tygodni po ślubie jego jedyne go syna i następcy tronu.

- Nie nadawał się do operacji, czego ojciec był doskonale świadomy, więc zdawał sobie też sprawę, że ma niewiele czasu na przekazanie wszystkiego w moje ręce.

- Czemu nie zadzwoniłeś, żeby mi o tym wszystkim powiedzieć? Pojechałabym do Honfleur i czekała, aż...

- Nie rozumiesz, Marianne, to nie takie proste - wpadł jej w słowo.

Istotnie, najwyraźniej nie rozumiała, bo dla niej sprawa była niesłychanie prosta. Ostatecznie przecież swą tożsamość ukrywał przed nią, jeszcze nim przyszła informacja o stanie zdrowia ojca, niczego to nie zmieniało między nimi.

- Bóg jeden wie, jak bardzo kochałem ojca, ale te ostatnie miesiące przed jego śmiercią były wypełnione czymś innym niż obawą o stan jego zdrowia. Moje życie zostało wywrócone do góry nogami.

- Jestem pewna...

- Nie - przerwał jej znowu. - Proszę, wysłuchaj mnie najpierw.

Skinęła głową.

- Nie tylko ze względu na ojca, ale z powodu naszej konstytucji. Jako następca tronu byłem zobowiązany ożenić się przed ukończeniem dwudziestu jeden lat, co ozna-

czało, że zostało mi siedem miesięcy na znalezienie odpowiedniej kandydatki na żonę.

Odpowiedniej kandydatki... Marianne zacisnęła dłonie na poręczy tarasu, tak że aż pobielwały jej kłykcie.

- Czemu księżęta muszą się żenić aż w tak młodym wieku?

- Taka tradycja. Wystarczy prześledzić historię naszego państwa, by przekonać się, że w przeszłości większość księżąt była zaręczona w wieku pięciu - sześciu lat, niektórzy nawet brali ślub zaocznie.

- Jak można mieć tak absurdalne rozwiązanie zapisane w konstytucji? - Marianne pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Do niedawna Monako miało bardzo podobne. Tak naprawdę przez wieki nie było to specjalnie uciążliwe, bo księżęta i tak żenili się przed skończeniem dwudziestu jeden lat.

Czemu więc nie ożeniłeś się ze mną, cisnęło jej się na usta, choć doskonale znała odpowiedź. Historia o Kopciuszku była niczym innym jak uroczą, słodką bajką dla małych dzieci. W rzeczywistości następcy tronu nie brali za żony dziewczyn z klasy średniej, urodzonych i wychowanych w zwykłym miasteczku w hrabstwie Suffolk. Z tej przyczyny głupotą byłoby spodziewać się, że postawiony wobec obowiązku ożenku Sebastian popędzi do Paryża i padnie na kolana, by poprosić ją o rękę. Takie rzeczy zdarzały się tylko w romantycznych powieściach i hollywoodzkich produkcjach.

- Małżeństwo zawarte przez każdego członka rodziny panującej musi być zatwierdzone przez aktualnie

panującego księcia, ewentualnie przez regenta, jeśli następcą tronu ma mniej niż dwadzieścia jeden lat. Jeśli zgoda nie zostanie wyrażona, małżeństwo jest z punktu widzenia monarchii nieważne, a dzieci nie zostają uznane.

Wyrecytował to takim tonem, jak gdyby ćwiczył te słowa wielokrotnie. Marianne powoli odeszła od barierki i usiadła ponownie przy stoliku. Jako historyk zdawała sobie sprawę, iż nie było to rzadkie rozwiązanie, podobne zresztą znajdowało się od wieków w angielskim prawodawstwie. Jednak dopiero teraz, gdy dotyczyło to jej samej, a także znanych jej osób, zrozumiała, jak okrutne to było prawo. Jak można było prawdziwych ludzi z krwi i kości, tak samo jak każdy pragnących kochać i być kochanym, zmuszać do porzucenia własnych pragnień, przedłożenia dobra państwa nad własne szczęście?

- Nagle okazało się, że kwestia mojego ożenku to sprawa priorytetowa - ciągnął Seb, nie opuszczając swego miejsca przy barierce. - Cała odpowiedzialność spoczywała na mnie...

Czyli prawda niewiele różniła się od tego, co Marianne od dawna podejrzewała - nie była dostatecznie dobra, by zostać jego żoną. Niedostatecznie dobra, by choć zadzwonił, nie dość godna zaufania, by do niej napisał.

Powolnym ruchem podniosła do ust kieliszek, wysączyła jego zawartość i odstawiła z powrotem na stolik. Nie myślała, że po tylu latach to spotkanie może być aż tak trudne. Czowała, że krew pulsuje jej w skroniach. Spróbowała się jednak opanować.

- A ja nie zostałam uznana za odpowiednią kandydatkę - podsunęła, by ułatwić mu zadanie.

- Nie, nie zostałambyś. Nie zostałam - poprawił się.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie została uznana za odpowiednią kandydatkę na żonę następcy tronu.

Marianne nie rozumiała, czemu po tych słowach miałyby się poczuć lepiej, ale tak się właśnie stało, jak gdyby po dziesięciu latach z jej ramion zdjęto wielki ciężar. Po latach spekulacji wreszcie dowiedziała się prawdy i nie była ona daleka od tego, co zawsze podejrzewała.

- A więc ożeniłeś się z Amelie Saxen-Broden?

Skinął głową na potwierdzenie.

- Kochałeś ją?

- Lubilem. Zresztą nadal ją lubię. Byłem jej wdzięczny, że przyjęła moje oświadczenia. Ale nigdy jej nie kochałem.

- Czy ona o tym wiedziała?

- Oczywiście, ona także mnie nie kochała. To małżeństwo było konsekwencją świadomego wyboru, a nie uczucia. Wychowaliśmy się w tym samym środowisku, byliśmy w podobnym wieku, takie rozwiązanie nasuwało się więc samo.

- A co by się stało, gdybyś nie znalazł odpowiedniej kandydatki?

- Wtedy straciłbym prawo do tronu na rzecz mojego kuzyna Michaela, który teraz byłby władcą Andowarii.

- Rozumiem - mruknęła, okrywając się szczelniej szalem, bo z jakiegoś powodu przeszedł ją lodowaty dreszcz.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, Marianne. Naprawdę się cieszę, że twoje życie ułożyło się tak dobrze, że jesteś szczęśliwa.

Duma to w istocie silny czynnik motywujący, pomyślała, przywołując na twarz uśmiech.

- Mogłeś mi powiedzieć prawdę. Nawet jako kilkulatka nie widziałam siebie w roli księżniczki.

- W takim razie byłaś chyba wyjątkową kilkulatką. - Jego ciemne oczy zaiskrzyły się.

- O ile pamiętam, w wieku pięciu lat chciałam zostać astronautką. Moi rodzice byli bardzo nastawieni na edukację, kupowali mi mnóstwo książek, dostawałam tylko takie zabawki, które miały mnie rozwijać intelektualnie.

Roześmiał się serdecznie, a ją aż ścisnęło w żołądku.

- Żałuję, że wszystko się tak potoczyło - przyznał, poważniejąc nagle. - Nie spodziewałem się, że poznam kogoś takiego jak ty, nie planowałem się zakochać, a wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu na myślenie.

Zanim się zdążyłem zorientować, byłem już za bardzo zaangażowany w nasz związek.

Ich znajomość przypominała huragan, zakończyła się równie nagle, jak się zaczęła, i to martwiło ją znacznie bardziej. W jednej chwili z nastolatki, odbywającej pierwszą w życiu wielką wyprawę, musiała się przeistoczyć w

osobę dorosłą, odpowiedzialną nie tylko za siebie, ale za całkowicie od niej zależną małą istotkę.

W przypadku Seba było inaczej, gdyż spotkanie z nią nie zmieniło tak diametralnie jego życia, po powrocie z Paryża wszystko nadal toczyło się mniej więcej zgodnie z planem. Ona zaś otarła się o bezdomność, bo gdyby ciotka Thea nie skontaktowała się z Elianą, nie miałyby gdzie mieszkać, rodzice bowiem nie byli jej w stanie wybaczyć upadku, za jaki uważali jej ciążę. Przygryzła dolną wargę na myśl, co by powiedziała rodzina książęca, gdyby Seb przedstawił im ciężarną narzeczoną. Zapewne uczyniliby wszystko, by uświadomić mu niestosowność całej sytuacji i zaproponowali jakieś „honorowe” wyjście, by zatuszować skutki jego nierozważnego działania.

- Wiem, że nie ma żadnego usprawiedliwienia dla sposobu, w jaki cię potraktowałem. Byłem młody, odrobinę buntowniczy, ale doskonale zdawałem sobie sprawę z obowiązków, jakie nakładała na mnie rola następcy tronu. Prawdopodobnie w ogóle nie powinienem był cię zaczepić wtedy w Amiens, a już na pewno namawiać cię, byśmy mogli się do was z Nickiem przyłączyć.

- W takim razie czemu to zrobiłeś?

Usiadł na krześle, wpatrując się w kosmyk jej włosów, poruszany lekko przez powiewający wiatr. Odpowiedź na jej pytanie była niezwykle prosta. Bo chciał. Najzwyczajniej w świecie chciał z nią być. To był chyba ostatni taki przypadek w jego życiu, gdy postąpił instynktownie, nie biorąc pod uwagę konsekwencji swych działań. Najpierw

chciał z nią porozmawiać, potem chciał spędzić z nią więcej czasu, a potem...

Była piękną dziewczyną, ale nie chodziło tylko o jej urodę. Zakochał się od pierwszego wejrzenia w tym jej nieśmiałym uśmiechu, w rumieńcach, które wypływały na jej policzki, gdy się z nią droczył, w jej sposobie mówienia i poruszania.

- Bo lubiłem z tobą przebywać. A ty czemu dałaś się przekonać, żebyśmy wyruszyli z wami?

- Nie wiem... - odparła wymijająco, starając się unikać jego spojrzenia.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Może dlatego, że tak nalegałeś? - Wzruszyła ramionami.

Było w tym pewnie ziarno prawdy, musiał przyznać, iż wykazał się wtedy wyjątkowym uporem. Dzięki Marianne czuł się dowartościowany, bo lubiła go, choć nie zdawała sobie sprawy, że jest księciem. Po raz pierwszy i ostatni w życiu miał okazję się przekonać, jak to jest być zwykłym dziewiętnastolatkiem.

- Czy ty i Nick naprawdę byliście wtedy na wakacjach?

- O, tak. - Sięgnął po kieliszek i wpatrzył się w jego zawartość. - Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem wyrwałem się dokądś tak po prostu bez obstawy. To było niezwykle doznanie. Oczywiście, rodzice wiedzieli dokładnie, dokąd się wybieram, po prostu poluzowali mi nieco smycz na jakiś czas.

- Czy wiedzieli o mnie?

- Zdziwiłbym się, gdyby nie znali rozmiaru twego buta.

Ogarnęło ją przerażenie, bo nigdy się nad tym nie zastanawiała. Czy to możliwe, by byli świadomi jej ciąży? Chyba nie, przecież istniała tajemnica lekarska. Zresztą być może gdy zniknęła tak nagle, przestała być dla nich interesująca.

Z salonu dobiegł ich śmiech dwóch pozostałych gości.

- Chyba powinniśmy już wracać - zauważyła Marianne rozsądnie.

- Pewnie masz rację. Jak twoja głowa, jeszcze boli?

- Jeszcze odrobinę, ale jest znacznie lepiej.

Znacznie lepiej czuła się też psychicznie, bo choć nie dowiedziała się specjalnie nic nowego, sam fakt szczerzej rozmowy dużo dla niej znaczył. Poza tym od chwili, gdy zobaczyła w prasie zdjęcia ślubne Sebastiana, podejrzewała, że ich przelotny romans był dla niego nic nie znaczącym pożegnaniem z kawalerskim życiem.

Teraz, gdy wiedziała, iż źle go oceniła, odczuła ogromną ulgę.

- Nie jesteś teraz żonaty, a miał to być warunek objęcia tronu - przypomniała na koniec. - A może to działa w ten sam sposób jak w przypadku wdowców?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, musiałem zmienić konstytucję.

Zmienił konstytucję? Skoro było to takie łatwe, czemu jego ojciec nie zmienił prawa, by uchronić syna przed zawarciem małżeństwa, które mu nie odpowiadało?

- To był długotrwały proces - dodał, jakby czytając w jej myślach. - Ale konieczny, żebyśmy z Amelie otrzymali unieważnienie ślubu. W ciągu ośmiuset lat trwania

monarchii w Andowarii nie było takiego przypadku, więc trzeba było starannie przeanalizować wszystkie możliwe konsekwencje. Spory prawników trwały pięć lat, nim wypracowaliśmy w końcu rozwiązanie, które satysfakcjonowało wszystkich.

Co oznaczało, że w pewnym momencie będzie musiał się ożenić ponownie. Z kimś odpowiednim. Póki co, mógł jednak spotykać się z aktorkami i modelkami, z którymi chętnie go fotografowano, a potem zamieszczano zdjęcia w kolorowej prasie. Marianne nie była w stanie pojąć, jak te wszystkie kobiety się na to godziły. Przecież nie było ważne, czy przespały się z księciem, czy nie, jeśli nie były dla niego niczym więcej jak tylko pięknym ciałem. To musiało boleć, ona przecież nie otrzęsnęła się z tego przez wiele lat.

- Jak twoja głowa? - zainteresował się profesor, gdy wrócili do salonu.

- O wiele lepiej. - Zmusiła się do uśmiechu. - Wyjście na świeże powietrze było jednak niezłym pomysłem.

Profesor kontynuował rozmowę z Leibnitzem, ale Marianne nie była w stanie brać w niej udziału, siedziała tylko na skraju krzesła, zastanawiając się, kiedy wreszcie wrócić do swego hotelu. Nowe buty uciskały jej stopy, a ból głowy wcale nie zelżał, tylko pulsował silnie nad lewym okiem.

- Dam panu kilka dni na rozmowę z żoną i podjęcie decyzji - oświadczył wreszcie Sebastian, co było oczywistym znakiem zakończenia spotkania. - Po upływie tego czasu zadzwonię do pana.

W głębi serca Marianne doskonale wiedziała, jaka

będzie ta decyzja, cieszyła się więc z odbytej z Sebem rozmowy, bo dzięki temu myśl o wyprawie do Andowarii nie była już tak nieznośna, jak jeszcze przed paroma godzinami. Wierząc, że nie miał intencji zabawienia się, a następnie porzucenia jej, nie musiała go już nienawidzić, dzięki czemu mogła spokojnie przygotowywać się do wyjazdu. Zresztą nienawiść była zaledwie jednym z szerokiego spektrum uczuć, jakimi go darzyła, jednocześnie bowiem niezmiennie go kochała i współczuła mu, że musi żyć w pozłacanej klatce. To wiele tłumaczyło.

- Jesteś dzisiaj bardzo cicha - stwierdził profesor, gdy wsiadali do taksówki.

- Już podjęłaś decyzję, prawda? Chcesz przyjąć zaproszenie?

Peter przymknął oczy. Wyglądał na znacznie bardziej zmęczonego, niż gotów był przyznać.

- Gdybyśmy starannie dobrali zespół... - rozmarzył się.

Seb zdjął marynarkę i odwiesił ją na krzesło, próbował też rozplatać muszkę. Podszedł do okna, oparł dłonie na parapecie i wpatrzył się w rozświetloną latarniami ulicznymi noc.

Była to chyba najtrudniejsza rozmowa jego życia. Najtrudniejsza, ale niesłychanie potrzebna, zamykała bowiem rozdział, który od dziesięciu lat czekał na swój finał. Buzowały w nim emocje, którym nie dawał przez ten długi czas ujścia, a także wspomnienia pięciu tygodni, które na zawsze odmieniły jego życie. Pięciu tygodni, podczas których działał zgodnie z tym, co miał w sercu, a nie z tym,

czego wymagało od niego dobro monarchii.

Podczas porannego spotkania nazwała go ulubieńcem tabloidów, po raz pierwszy zmuszając w ten sposób do zastanowienia, co musiała czuć, gdy z prasy dowiedziała się o jego prawdziwej tożsamości. Nie była to przyjemna myśl. Faktycznie w pewnym sensie był ulubieńcem brukowców, każdy bowiem jego gest natychmiast był w nich szeroko omawiany. Wystarczyło, by wdał się w rozmowę z jakąś kobietą podczas wieczornego przyjęcia, aby wiadomość o jego rzekomym romansie obiegła następnego ranka pół Europy, a w ciągu paru dni dotarła do Stanów.

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

- Nick? - upewnił się, gdy w słuchawce usłyszał znajomy głos. - Czyżbym cię obudził?

- Nie, ale już całkiem straciliśmy nadzieję. Przyjedziesz jednak?

- Tak, planuję dotrzeć jutro przed obiadem. Tylko tym razem nie każ mi spać w tym pokoju z ciekącym dachem - poprosił, a na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

- Zostaniesz na dłużej?

- Tylko na weekend, w poniedziałek przed obiadem muszę być w Wiedniu na spotkaniu z delegacją handlową, a po tym od razu lecę do Stanów.

- Na długo?

- Niespełna sześć tygodni.

Oparł się wygodnie na krześle, rozważając, czy powinien już teraz przyznać się przyjacielowi do spotkania z Marianne. Przesunął dłonią po twarzy. Był zmęczony, nie

czuł się na siłach tłumaczyć ze swych uczuć, które zresztą i dla niego pozostawały niejasne. Na szczęście wiedział już więcej o jej uczuciach. Był jej wdzięczny, że go wysłuchała, choć miał poczucie, iż dostał więcej, niż mu się należało. Szczególnie że tak srodze ją zawiódł...

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Seb wychylił się do przodu, by postukać kierowcę w ramię.

- Stefanie, czy mógłbyś się tu zatrzymać? Chciałbym rozprostować kości.

Szofer posłusznie zatrzymał auto, drugie, jadące za nimi, zahamowało równie błyskawicznie.

- Czy mógłbyś, proszę, zanieść tę aktówkę do mojego apartamentu? - zwrócił się do siedzącego obok sekretarza. - Przekaż ją Lieslowi, przejrzy te dokumenty jeszcze raz wieczorem.

Wsunął plik papierów z powrotem do teczki, podał ją Aloisowi i z westchnieniem ulgi wyszedł na świeże powietrze. Dobrze znów znaleźć się w domu, myślał, oddychając głęboko. Ktoś mądry kiedyś powiedział, że podróże wprawdzie poszerzają horyzonty, ale pobyt we własnym domu leczy duszę. Słowo dom w przypadku Sebastiana oznaczało imponującej wielkości zamek Poltebrunn, stojący u podnóża Alp. Na co dzień aż tak się nim nie zachwycał, ale gdy wracał do siebie po dłuższej nieobecności, nieodmiennie był wdzięczny losowi za możliwość spędzenia życia w tak pięknej scenerii. Eleganckie skórzane pantofle uniemożliwiały mu w tym momencie

wędrówkę skalistą, ale piękniejszą ścieżką, zadowolili się więc powolnym spacerem wzdłuż głównej drogi, prowadzącej do zamkowych zabudowań. Spojrzał na najstarsze budynki, mieszczące część gospodarczą, prezentujące się nader solidnie i posepnie na tle późniejszych, o charakterze reprezentacyjnym. To w starych pomieszczeniach gospodarczych za niespełna tydzień rozgości się ekipa profesora Blackwella, a wśród nich Marianne. Zastanawiał się, jakie to będzie uczucie budzić się codziennie ze świadomością, iż przebywają niemalże pod jednym dachem. Od czasu spotkania w Londynie myślał o niej prawie nieustannie, zastanawiał się więc, czy będzie w stanie skupić się na jakiegokolwiek pracy.

Wyszedł właśnie zza zakrętu, gdy dostrzegł samotną kobietą sylwetkę wyłaniającą się z pobliskiego lasu. Coś w jej sposobie poruszania sprawiło, że natychmiast zatrzymał się, a serce podskoczyło mu do gardła. Choć nie dowierzał własnym oczom, to musiała być ona. Powoli pięła się w jego kierunku, aż nagle stanęła jak wryta, szybko się jednak przywołała do porządku i ruszyła jak gdyby nigdy nic. Przeczesał nerwowym gestem włosy, szukając rozpaczliwie w myślach jakiejś zgrabnej kwestii, którą mógłby ją powitać, jednak nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Nie spodziewał się jej ujrzeć na tle znanego w najmniejszym szczególe krajobrazu, może więc stąd brało się jego oszołomienie?

Zatrzymała się zaledwie kilka kroków przed nim. Dłgie do ramion blond włosy miała zebrane w koński ogon, przez co wyglądała niezwykle naturalnie i młodo. Z zaskoczeniem odkrył, że bardzo pragnie ją pocałować. Pa-

miętał aż za dobrze, jak to jest czuć pod wargami jej usta, wodzić dłońmi po jej delikatnej, jedwabistej skórze.

Uśmiechnęła się.

- Nie spodziewałem się ciebie... - zaczął niepewnie. - Miałaś przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu.

- Zjawiłam się wcześniej, żeby przygotować komputery i stanowiska pracy przed przyjazdem profesora - wyjaśniła.

- Ach - wykrztusił z trudem, czując się przy tym jak ostatni głupiec. - A od jak dawna jesteś?

- Od dziesięciu dni.

- Nie było mnie... - Potarł spoconymi dłońmi nogawki spodni.

- Wiem. - Znów się uśmiechnęła. - Miałaś dobrą podróż?

- Tak, dziękuję. Całkiem dobrą.

- To dobrze - odparła i poruszyła się, jak gdyby chciała kontynuować wędrówkę, więc musiał błyskawicznie coś wymyślić, aby ją zatrzymać.

- Czy masz wszystko, czego ci trzeba?

- Tak, dziękuję.

- Dobrze. To dobrze - wymamrotał, zażenowany swym nagłym i całkowitym zanikiem umiejętności prowadzenia rozmowy.

- Księżniczka Wiktoria naprawdę o mnie dba, jest doskonale zorganizowana i często uprzedza moje prośby. Co najważniejsze, jest entuzjastycznie nastawiona do tego przedsięwzięcia.

- Tak, to prawda. - Uśmiechnął się niepewnie. - Przepraszam, że jestem taki mało wymowny, ale czuję się

straszliwie zmęczony tą podróżą. Może jak się prześpię, będzie łatwiej ze mną rozmawiać.

Roześmiała się pogodnie, a jej oczy zalśniły. W jednej chwili Seb przekonał się, że zauroczenie, które rozpoczęło się przed dziesięciu laty, trwało nadal, przynajmniej z jego strony. Nie rozumiał, jak w ogóle mógł się z nią wtedy rozstać. Może w wieku dziewiętnastu lat nie zdawał sobie sprawy, jak trudno znaleźć kogoś, z kim czułoby się taką wspólnotę myśli i pragnień? Teraz zaś, bogatszy o dziesięć lat doświadczeń, mógł z całą stanowczością stwierdzić, że przez ten czas nie poznał nikogo, kto wydawałby mu się tak bliski jak ona.

- Jak długo trwał lot? - przerwała jego rozmyślania.

- Osiem i pół godziny.

- Nic więc dziwnego, że jesteś zmęczony, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę różnicę czasu.

Jako panujący monarcha doskonale wiedział, jak należy zakończyć rozmowę, by nie sprawić drugiej osobie przykrości ani zawodu, ale w tym przypadku umiejętności te okazały się kompletnie nieprzydatne, bowiem jego serce w ogóle nie słuchało głosu rozsądku. Wciąż lubił z nią przebywać, czuł, że przy niej naprawdę żyje, widział więcej, słyszał więcej, wszystkie bodźce docierały do niego z większą intensywnością. Ostatnim razem doświadczył czegoś takiego na stopniach katedry w Amiens.

- A ty co porabiasz? Wyszłaś na spacer?

Wskazała termos, który trzymała cały czas przyciśnięty do piersi.

- Zrobiłam sobie przerwę. Chciałam przypomnieć sobie, że ciągle jest lato. Chłodno tam w zamku.

- Przykro mi bardzo.

Znów się uśmiechnęła, przyprawiając go tym samym o chwilową utratę tchu.

- Nie ma za co, przecież to nie twoja wina, że w starej części zainstalowano kiepskie ogrzewanie. No a mury są bardzo grube.

- To w nowej też pozostawia wiele do życzenia. - Odwzajemnił uśmiech. - Ale w porównaniu z tym w zamku Nicka jest rewelacyjne. Już kilka razy mu mówiłem, że w zaproszeniach powinien informować o konieczności przywiezienia bielizny termicznej.

Roześmiała się, a Seb zapragnął ją pocałować, zupełnie jak za dawnych lat. Czy była tego świadoma? Czy nie zdradzało go spojrzenie, wciąż uparcie powracające w okolice jej ust?

- Zatrzymałem się u niego na weekend po spotkaniu z tobą w Londynie - dodał w ramach wyjaśnienia. - Przesyła ci pozdrowienia.

- Aha - mruknęła, nerwowym gestem zakręcając i odkręcając termos.

- Idziesz w jakieś konkretne miejsce?

- Miejsce? Ach, na kawę? Nie, pierwszy raz wybrałam się w tym kierunku.

- A mogę się dołączyć?

Rzuciła mu na tyle zaskoczone spojrzenie, że przez chwilę obawiał się odmowy.

- Możesz, proszę bardzo - odparła po dłuższej chwili.

- Wystarczy kawy dla nas dwojga, pod warunkiem że lubisz słodzoną z mlekiem.

Nie lubił, wolał czarną i bez cukru, zresztą tak napraw-

dę w ogóle nie miał ochoty na kawę, ale chęć spędzenia z Marianne dodatkowego kwadransa była silniejsza.

- Możemy równie dobrze usiąść tutaj - zaproponowała, zsuwając ramiączko plecaka. - Widok stąd jest bajeczny.

- Chodź. - Wyciągnął rękę po jej plecak i poprowadził ją skrótem przez łąkę, zupełnie zapominając o eleganckich butach, które w ten sposób skazał na zagładę. Senność, która jeszcze przed kwadranssem go dręczyła, uleciała całkowicie, był podekscytowany, pełen energii, czuł się jak dziesięć lat młodszy.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, kładąc na ziemi jej plecak. - I co sądzisz o tym widoku? Jestem bardzo ciekaw twojej opinii.

Obserwował, jak się odwracała, by spojrzeć w dół na zamek Poltenbrunn. Z tego punktu dwunastowieczne, siermiężne zabudowania gospodarcze były całkowicie niewidoczne, widać było jedynie przepiękny zamek, jak gdyby żywcem wyjęty z dziecięcej baśni.

- Wydaje mi się znajomy.

- To ujęcie najczęściej przedstawiane na widokówkach. O każdej porze dnia, w każdej porze roku. Widziałem pewnie z tysiąc fotografii przedstawiających zamek z tej perspektywy, a żadna nie oddała całego jego uroku.

- Sprawia wrażenie, jak gdyby lada moment z okienka w wieży miała wyrzeć uwięziona w niej księżniczka - zauważyła, rozkładając na trawie sweter.

- Może to właśnie powinniśmy zrobić z Isabelle? - zastanawiał się żartobliwie. - Zamknąć ją w wieży? To by zapobiegło kolejnej katastrofie, które ostatnio przytrafiają jej się w ilościach hurtowych.

- Weź tylko pod uwagę, że w bajce zła wiedźma, która zamknęła tam księżniczkę, skończyła raczej nie najlepiej.

- Obawiam się, że i w naszym przypadku to by nie działało, Isabelle nawet w zamknięciu zrobiłaby coś nieodpowiedzialnego. Choć nie przychodzi mi do głowy, co mogłoby być gorsze od zniknięcia na tydzień.

- Ty zniknąłeś na dłużej - przypomniała.

Rzeczywiście, miała rację, a nigdy nie przyszło mu do głowy, by poczynić takie porównanie. Czy to możliwe, by siostra była równie nieszczęśliwa jak on?

- Isabelle jest starsza niż ja wtedy. Ma dwadzieścia dwa lata.

- Czyli nie jest tak dużo starsza - zauważyła, odkręcając termos.

Była to prawda, ale on w tym wieku pogodził się już ze swym przeznaczeniem, wstąpił na tron i ożenił się z Amelie. Wziął ją za żonę, choć był zakochany w Marianne...

- O której wyleciałeś z Nowego Jorku? - zapytała, nalewając kawy.

- Około dwudziestej trzeciej. Od razu po zakończeniu uroczystej kolacji, na którą zostałem zaproszony.

- Tak późno? A czy twoi współpracownicy nie woleliby się dobrze wyspać przed taką męczącą podróżą?

- Uznałem, że ucieszą się, mogąc jak najszybciej wrócić do swych rodzin.

- Tak uznałeś, ale ich nie zapytałeś? - Zerknęła na niego spod oka.

- To ich praca...

- Chronić cię i spełniać twoje życzenia - dokończyła, podając mu kubek. - Już to gdzieś słyszałam. Musi pan

być nie do wytrzymania jako szef, Wasza Książęca Wysockość.

Sącząc kawę, przypatrywał jej się znad krawędzi kubka. Była w niej pewność siebie, której nie widział podczas ostatniego spotkania, a która bardzo przypadła mu do gustu.

- Nie ma pani zbyt dobrej opinii o książętach, doktor Chambers.

- Powiedzmy, że troszeczkę zraziłam się przy pierwszym zetknięciu.

- Dzięki.

- Nie ma za co - roześmiała się.

Podobał mu się sposób, w jaki z nim rozmawiała. Ludzie rzadko mieli odwagę śmiać się i żartować w jego obecności, jak gdyby książęcy tytuł czynił go całkowicie odmiennym od reszty. Tylko Nick traktował go normalnie, ale to zapewne dlatego, że chodzili razem do szkoły i robili sobie nawzajem dowcipy. Podobnie Marianne, która nie tylko nie widziała w nim księcia, ale i traktowała go jak zwykłego śmiertelnika.

- Co sądzisz o naszych skarbach? - zmienił temat. - Miałaś już chyba okazję im się przyjrzeć?

- Tak, są fascynujące - przyznała, a jej oczy aż zalśniły z entuzjazmu. - Wczoraj na przykład natknęłam się na spis majątku Konrada I z Turyngii, wykonany w 1236 roku.

-A Konrad I był...?

- Och, przepraszam. - Zarumieniła się. - Wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego.

- Chyba naprawdę kochasz to, co robisz.

- Oczywiście. Jaki jest sens robienia czegoś, czego się nie lubi?

Z poczucia obowiązku, odpowiedział w myślach.

- Eliana mówi, że wykonywanie pracy, której się nie kocha, jest jak powolne umieranie - dodała, nadgryzając jabłko. - Że w życiu najważniejsza jest pasja i odnajdowanie przyjemności w najdrobniejszych rzeczach.

Jej filozofia stała w jawnej sprzeczności z tym, do czego go od zawsze wychowywano. W jego życiu nie było miejsca na przyjemności, a dominującymi pojęciami były obowiązek, lojalność i odpowiedzialność.

Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Marianne odkryła, że spacer i rozmowa z Sebem sprawiły jej ogromną przyjemność. W pierwszej chwili, gdy go ujrzała, wychodząc na skraj lasu, chciała w panice cofnąć się za drzewo, ale teraz czuła się naprawdę dobrze w jego towarzystwie, zupełnie jak gdyby byli starymi przyjaciółmi.

- Czemu akurat ten widok jest ci najbardziej bliski? - zainteresowała się, bowiem do niej najmocniej przemawiały solidne, oszczędne w formie zabudowania gospodarcze. - Jest ładny, jak wszystko wokół, ale co cię w nim szczególnie pociąga?

- Odkąd miałem osiem lat, przychodziłem tu z ojcem raz, dwa razy w tygodniu. Tylko tutaj udawało nam się spędzić trochę czasu sam na sam.

- A co na to twoje siostry? Nie buntowały się?

- Isabelle nie, była zbyt mała, ale możliwe, że Wiktoria była nieco zazdrosna - przyznał. - Wiedziała jednak, że jako następca tronu mam specjalne względy, wychowy-

wano nas ciągle w tym poczuciu. Widzę, że nie pochwalasz sukcesji w męskiej linii - dodał, widząc na jej twarzy wyraz dezaprobaty. - Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi. A jeśli powiem ci, że to tradycja sięgająca 1138 roku?

- Podobnie jak obowiązek posiadania żony przez panującego monarchę, który ty osobiście zniósłeś - zauważyła.

- I tu się mylisz, ten przepis obowiązywał dopiero od 1654 roku. - Jego ciemne oczy zaśniły wesoło.

- To całkowicie zmienia postać rzeczy - zaśmiała się, wylewając na trawę ostatnie kropelki kawy.

Tęskniła za takimi rozmowami, za serdeczną bliskością, której nie doświadczała w kontaktach z nikim innym. Ciekawa była, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że od czasu rozstania z nim nie kochała się z żadnym mężczyzną. Że tylko jego dłonie miały prawo wędrować po jej nagim ciele.

Szybko odwróciła głowę. To wszystko było już nieważne, nie mieli żadnych szans na wspólną przyszłość, niezależnie od tego, czy wciąż byli sobą zauroczeni. Przecież powiedział jej niemal wprost, że była i jest osobą nieodpowiednią...

- Czy mogę cię o coś zapytać? - zaczęła nieśmiało.

- Oczywiście, słucham.

- Wspomniałeś, że twoi rodzice wiedzieli o mnie...

-Tak?

- Czy to znaczy, że ktoś teraz wie? To znaczy, czy ktoś wie, że jestem osobą, którą poznałeś we Francji?

- Czemu pytasz?

- Przyszło mi do głowy, że może księżniczka Wiktoria.

- Być może pamięta twoje imię. Moja matka na pewno, służby ochrony też niewątpliwie wiedzą, że dziewczyna z Francji i ty to ta sama osoba - przyznał bez owijania w bawełnę. - Od czasu naszego pierwszego spotkania jesteś pod ich obserwacją, choć z pewnością do niedawna nie zajmowałaś wysokiej pozycji na ich liście priorytetów.

- Nie podoba mi się to! - zaprotestowała, podnosząc się.
- Czy to nie jest pogwałcenie moich podstawowych praw?

- Odkąd nasze ścieżki się skrzyżowały, moje bezpieczeństwo jest ważniejsze od twych praw.

- Jak ja śmiałam zapomnieć, że jesteś taki ważny?! - Podniosła z ziemi sweter. - A ja w porównaniu z tobą to marny pył.

- To nie jest moja wina - przypomniał cichym głosem.
- Tak się złożyło, że urodziłem się w rodzinie książęcej.

Istotnie, nie była to jego wina, ale i tak absolutnie jej się nie podobało, że ktoś ją sekretnie podglądał od dziesięciu lat, przekazywał informacje na jej temat, wyrażał opinie, których nie miała możliwości podważyć. Czy jej cienie wiedziały, że była w ciąży? Czy przekazały te wiadomości, czy może zatrzymały ją dla siebie? Choć było jej przykro, nie mogła mu nie współczuć życia, które wymagało inwigilacji każdej osoby, z jaką się zetknął. Z fotografii w prasie można było nabrać przekonania, że jego los to jedno wielkie pasmo luksusu, atrakcji i splendoru, gdy się jednak nad tym bardziej zastanowić, była to złota klatka w najbardziej klasycznym wydaniu.

- Lepiej wracajmy, nim wyślą ekipę poszukiwawczą - zaproponowała. - Jeśli twoi ochroniarze znajdą cię w moim towarzystwie, nigdy nie zdołam ich przekonać, że nie stanowię zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa.

- Nie bierz tego do siebie, to tylko procedury.

Cóż za absurdalna rada! Jakże mogła nie brać tego do siebie? Miała nieszczęście poznać i pokochać następcę tronu maleńkiego księstwa Andowarii, przez co od dziesięciu lat była na cenzurowanym. Dowiedziała się w dodatku, że brakuje jej tego i owego, by spełnić warunki konieczne do zostania żoną tegoż następcy tronu. Czy można było czegoś takiego nie brać do siebie?

- Gdzie cię zakwaterowano? - zapytał, gdy szli ponownie skrótem przez łąkę.

- W jednym z apartamentów gościnnych. Nie wiedziałeś? Myślałam, że to był twój pomysł.

- Przecież byłem w tym czasie w Nowym Jorku.

- Księżniczka Wiktorja orzekła, że w ten sposób zaoszczędzę dużo czasu, bo nie będę musiała codziennie poddawać się kontroli przy wejściu. - Na moment zawiesiła głos. - Myślę jednak, że tak naprawdę bardziej miała na względzie tłumy paparazzich, które okupują bramę.

Czy tak jest zawsze?

- Nie, czekają na przybycie Isabelle. Wiedzą, że wybierają się na bal z okazji pięćdziesiątych urodzin matki.

- Czy oni tak koczują dzień i noc?

- Ci mniej sprytni tak. Ci bardziej sprytni starają się podstępem dostać na dziedziniec, przekupić pracowników obsługi, wyciągnąć rzekome sekrety od tak zwanych kręgów zbliżonych do dworu. Nie zawahają się przed ni-

czym, byle tylko zdobyć zdjęcie, jakiego nie ma nikt inny. Ostatecznie tym zarabiają na chleb.

- Okropność!

- To prawda, wszystkim nam to bardzo przeszkadza. Ale zupełnie niepotrzebnie zawracam ci tym głowę, ciebie to nie dotyczy...

- Nic nie szkodzi, przecież sama zapytałam.

Naprawdę podobało jej się, gdy opowiadał jej o swoim życiu, z jakiegoś powodu zależało jej na tym, by poznać go bliżej. We Francji to ona dużo mówiła o sobie, o rodzicach, rodzinnym miasteczku, szkole, planach na przyszłość. Seb głównie słuchał, co wtedy tłumaczyła sobie samej jego rzekomą niechęcią do skupiania uwagi na sobie.

Teraz wiedziała, że po prostu nie mógł... Stale zważał na każde wypowiedziane w jej obecności słowo, cenzurował swe wypowiedzi, żeby konsekwencje jej ewentualnej niedyskrecji były jak najmniejsze. Na myśl o tym zrobiło jej się niezmiernie przykro.

- O czym myślisz? - zainteresował się.

Tego akurat nie mogła mu wyjawić. Nie musiał przecież wiedzieć, że znalazła kolejny punkt na liście upokorzeń, jakie jej niegdyś zafundował.

- O niczym.

- Proszę, powiedz, naprawdę chciałbym wiedzieć.

Zawsze poznam po twoich oczach, kiedy jesteś nieszczęśliwa.

Podniosła ku niemu wzrok. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Działo się między nimi coś, czego nie rozumiała, coś całkowicie poza jej kontrolą.

- Marianne... - W jego szepcie pobrzmiwały wszystkie emocje, których nie był w stanie wyrazić w inny sposób.

Wyciągnął powoli dłoń, by pogładzić ją po policzku.

- Jesteś taka piękna...

Jakże pragnęła słyszeć takie słowa... Jego palce zaledwie muskały jej policzek, a dreszcze przebiegały po całym ciele.

- Taka piękna...

Tak łatwo byłoby znów się zakochać w tym spojrzeniu, w jego głębokim głosie, w silnych dłoniach. Łatwo zapomnieć, jak samotna się czuła, gdy zostawił ją w Paryżu. To, że była piękna, nic nie znaczyło. Nic poza tym, że chętnie poszedłby z nią do łóżka. Nie oznaczało, że ją kochał, że chciał z nią dzielić życie.

- Nie - szepnęła, odsuwając się. - Nie mogę.

Skinął bez słowa głową i odszedł.

Podniosła drżącą dłoń do ust. Niewiele brakowało, a pocałowałby ją. Co więcej, pragnęła tego całkowicie wbrew rozsądkowi. Zdała sobie bowiem niespodziewanie sprawę z tego, że wciąż kocha Seba, że tak w gruncie rzeczy nigdy nie przestała go kochać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Seb wyciągnął do góry ręce, by wyprostować plecy i pozbyć się dzięki temu napięcia z mięśni. Niewiele to jednak dało, bo choć wszystko bolało go po treningu, to prawdziwym źródłem problemu był stres związany z Marianne.

- Seb? - dobiegł go głos Wiktorii.

Zakręcił wodę w prysznicu i wychylił się z kabiny.

- Jestem w łazience, zaraz wyjdę.

Sięgnął po dwa ręczniki, wiszące na umieszczonym nieopodal grzejniku. Jeden owinał sobie wokół bioder, drugim posłużył się do wytarcia włosów. Wchodząc do pokoju, zastał siostrę na przeglądaniu leżących na stoliku czasopism.

- Widzę, że napisali tu o tobie - stwierdziła z niezadowolaniem.

Zerknął w przelocie na otwartą stronę kolorowego czasopisma.

- Liesl przyniósł mi je do obejrzenia. W tych poniżej pojawiają się wzmianki o Isabelle.

- A kim jest ta brunetka?

- To żona kogoś, kogo poznałem w Los Angeles. Nie martw się, ten po lewej to jej mąż. - Przeszedł do gardero-

by, gdzie przebrał się w dżinsy i bawełnianą koszulkę. - Wiesz dobrze, że tego typu magazyny sprzedają się właśnie dzięki takim niejednoznacznym zdjęciom. Cieszymy się, że ci akurat napisali o mnie, a nie o naszej siostrzyczce.

Wiktoria prychnęła ironicznie. Ona, w przeciwieństwie do siostry, zachowywała się od wczesnego dzieciństwa niezwykle odpowiedzialnie, nigdy nie naraziła rodziny na nieprzyjemności, wyszła za mąż zgodnie ze wskazówkami dworskich doradców i nawet była umiarkowanie szczęśliwa w tym małżeństwie. Wprawdzie ona i jej dwaj synowie coraz więcej czasu spędzali w zamku Poltenbrunn, ale w gruncie rzeczy nie było w tym nic podejrzanego ani nie stosownego.

Tego dnia jego idealna siostra miała niezwykle zafrosowany wyraz twarzy.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczęła niechętnie.

- Czy jest to rozmowa, która wymaga kawy i ciasteczek, czy raczej porządnej szklaneczki whisky?

- Nie żartuj sobie.

- Dobrze, a o czym chcesz rozmawiać? - zapytał bardziej dla zyskania na czasie, ponieważ miał poważne podejrzenia, iż wie, co jej chodzi po głowie.

- Nie o czym, ale o kim. O doktor Chambers.

Zatem jego przeczucia okazały się słuszne. Od chwili, gdy Marianne powiedziała mu, że Wiktoria przydzieliła jej jeden z gościnnych apartamentów, spodziewał się tej rozmowy.

- Słucham.

- Kim ona jest?

- Przecież wiesz. Prawą ręką profesora Blackwella - zawahał się. - I dorosłą wersją dziewczyny, którą poznałem we Francji.

Posłała mu spojrzenie wyrażające nie tyle zaskoczenie, co niedowierzenie.

- Czemu ją tu sprowadziłeś?

- Nie ja, tylko ty. To ty szczególnie upierałaś się przy profesorze Blackwellu - przypomniał.

Siostra nerwowo bawiła się kolczykiem.

- A ty nie wiedziałaś, że twoja była ukochana jest jego współpracownicą?

- Nie. - Pokręcił głową.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Nie interesuje mnie, w co wierzysz, a w co nie - wypalił niecierpliwie. - Słuchaj, jestem zmęczony, mam za sobą dziesięciogodzinną podróż i naprawdę nie chce mi się po raz kolejny tłumaczyć, że miałem romans z Marianne Chambers przed dziesięciu laty i od tamtej pory się z nią nie kontaktowałem. Czego się obawiasz?

- Wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na kolejny skandal. Najpierw monarchią zatrzęsło unieważnienie twojego małżeństwa, potem Isabelle wybrała się na wycieczkę po Europie ze swoim instruktorem narciarskim...

- Wiem - uciał krótko.

Z wyraźnym trudem przywołała na twarz uśmiech.

- Wierzę, że postąpisz właściwie - stwierdziła, podnosząc się. - Tak jak do tej pory. Dam ci teraz trochę spokoju, żebyś mógł odpocząć przed kolacją. Aha, i proszę, przebierz się, bo jeśli przyjdiesz w takim stroju, wszyscy będą zażenowani. Doktor Chambers zakwaterowałam

w apartamencie gościnnym, ze względu na paparazzich, nie na ciebie...

- Powiedziała mi o tym. Ona nie jest głupia, Wiktorio, doskonale zrozumiała twoje intencje.

- Powiedziała ci? Kiedy?

- Spotkałem ją z godzinę temu. Szła na spacer. Wiem, co myślisz, ale czy naprawdę sądzisz, że doktor Chambers zgodziłaby się na związek, jaki jestem jej w stanie zaofiarować?

- Przyznasz chyba, że od czasu rozstania z Amelie nie żyłeś jak pustelnik. Znalazło się kilka takich, które się zgodziły...

- Wiktorio, doktor Chambers jest tu na twoje zaproszenie. Bez względu na to, gdzie byś ją umieściła, nie byłaby mną zainteresowana.

- Skąd ta pewność?

- Spójrz na to z jej punktu widzenia. Kiedy się poznaliśmy, miała osiemnaście lat i była zwykłą studentką, a nie jakąś gwiazdką, szukającą za wszelką cenę sławy. Jak myślisz, co ona może sądzić o sposobie, w jaki ją potraktowałem?

Na twarzy siostry pojawił się wreszcie wyraz zrozumienia i współczucia.

- Cieszę się. Nie z tego, jak ją potraktowałeś, tylko że nie sprowadziłeś jej tu z premedytacją. Dość już napisano na temat niskich standardów moralnych obecnie panującej dynastii.

Gdy wyszła, opadł zmęczony na fotel. Nie docenił jej doskonałej pamięci w odniesieniu do wszystkiego, co mogłoby zagrozić stabilności monarchii. W wieku lat dzie-

więtnastu bez skutku próbował przekonać ojca i stryja, iż zakochał się na śmierć i życie oraz że jego uczucie wobec Marianne było dla niego ważniejsze niż cokolwiek innego. Oczekiwał od nich zrozumienia, a napotkał mur i całą listę niezwykle logicznych argumentów, dla których miłość ma drugorzędne znaczenie w książęcym małżeństwie. Pytali, czy naprawdę chce kłaść na jednej szali ponad ośmiu setletnią historię swego kraju oraz uczucie do dziewczyny, którą dopiero co spotkał. Młody, niedoświadczony, oszłomiony czekającą go perspektywą przejęcia władzy, uległ w końcu ich perswazji. Tyle że Amelie, której kandydaturę poparli bez wahania, była głęboko nieszczęśliwa, choć przecież teoretycznie przygotowywano ją od małego do takiego życia. Nie mogła znieść ograniczeń, jakie nakładała na nią rola książęcej małżonki. Jeśli ona nie podołała, jakże mógł oczekiwać tego po zwykłej dziewczynie z angielskiej prowincji?

Opuszkami palców pomasaował obolałe powieki. Był świadomym władcą, zdawał sobie więc sprawę, iż wkrótce nadejdzie pora ponownego ożenku. Tym razem nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę, opinia publiczna nie była aż tak tolerancyjna. Jego ewentualna żona będzie musiała czuć się komfortowo, nosząc tytuł Jej Książęcej Wysokości księżnej Andowarii, znosić z godnością wszelkie ograniczenia, jakie ta pozycja ze sobą niesie. Nie miał wątpliwości, że kobieta na co dzień nosząca dzinsy i zbierająca włosy w koński ogon nie będzie pasować do tej roli. Marianne, która wierzyła, iż wszystko, co się robi, powinno sprawiać przyjemność, nie była odpowiednią kandydatką.

Czemu więc, będąc tego w pełni świadomym, niemal ją tego dnia pocałował? Usiadł prosto i przeczesał nerwowym gestem włosy. Kiedy znajdował się blisko niej, przestawał rozumieć sam siebie...

Marianne obudziła się tego ranka wyjątkowo wcześnie. Leżała przez chwilę w bezruchu, wsłuchując się w śpiew ptaków dobiegający zza okna. Myślała i myślała przez tyle godzin, a mimo to nie doszła do żadnego sensownego wniosku. Wszystkie przyczyny, dla których zdecydowała się przyjechać do Andowarii, wciąż były aktualne. Peter i Eliana kończyli w swym domu w Cambridge przygotowania do podróży, którą mieli odbyć za pięć dni. Profesor naprawdę jej tu potrzebował, bez jej pomocy nie miał szansy podołać temu wielkiemu, ale i wyczerpującemu zadaniu, ona zaś była mu tę pomoc winna bardziej niż komukolwiek do tej pory. Nic się nie zmieniło... Prócz tego, że Seb niemal ją pocałował.

Powędrowała boso do wielkiej szafy, z której wyjęła miękki biały szlafrok, nałożyła go i zacisnęła pasek wokół talii.

Co gorsza, ona także chciała, by ją pocałował. Zupełnie tego nie rozumiała, szczególnie po tym, jak spędziła dziesięć lat, próbując odzyskać utraconą pewność siebie.

Przeszła do aneksu kuchennego, by zrobić sobie herbaty. Sięgnęła po czajnik i napełniła go wodą, koncentrując się, aby nie uрониć ani kropli.

Dziesięć lat starannej ochrony przed kolejnym zranieniem. Dziesięć lat zabiegania o dobrą opinię wszystkich dokoła, aby w ten sposób uśmierzyć ból, jaki Seb

sprawił jej, uznając za niegodną. Wszystko to utraciła w chwili, gdy zrozumiała, iż odwzajemniłaby jego pocałunek z całą pasją, na jaką było ją stać. Dopiero teraz dotarło do niej, że przez te wszystkie lata każdego napotkanego mężczyznę porównywała właśnie z nim i żaden tego porównania nie wytrzymał. Nawet jeśli któryś chciał ją pocałować, nie robiło to na niej specjalnego wrażenia, a już na pewno nie pragnęła tych pocałunków odwzajemniać. Zupełnie jak gdyby przez ostatnich dziesięć lat jej emocjonalne reakcje były wytłumione, a wręcz wyłączone. Teraz zaś, gdy ponownie stanęła za mężczyzną, który przed dekadą zdobył jej serce, znów ogarnęło ją pragnienie tej bliskości, jakiej doświadczali we Francji. Nieważne, jak często tłumaczyła sobie, że ta bliskość była jedynie iluzją. Tęskniła za nią bez względu na to, co podpowiadał jej rozsądek.

Ponownie podeszła do szafy, z której wydobyła swą granatową walizkę, na pierwszy rzut oka pustą, a jednak zawierającą najdroższy jej sercu przedmiot. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni, która kryła nieduże prostokątne pudełko. Wszędzie jej towarzyszyło, dokądkolwiek się udawała, lubiła zerkać do jego wnętrza, choć tym razem było to wyjątkowo trudne. Podniosła wieczko. Na miękkiej poduszeczce z purpurowego aksamitu spoczywało wykonane z białego złota serce. Wyjęła je delikatnie; śliskie ogniwa łańcuszka prześliznęły jej się między palcami.

Wierzyła, że w chwili, gdy Seb dawał jej to serce, szczerze ją kochał. Gdyby w to teraz zwątpiła, nie umiałaby dalej żyć, szczególnie ze świadomością śmierci Jessiki,

ich wspólnego maleństwa. Drżącymi palcami sięgnęła po medalion i otworzyła go. Wewnątrz znajdowała się fotografia maleńkiej dziewczynki z zamkniętymi oczkami, bardziej podobnej do perfekcyjnie wykonanej porcelanowej laleczki niż do prawdziwego dziecka.

Jej dziecka. Jej i Sebastiana. Przeszył ją ostry, rozdzierający ból. Wiedziała już, że ten ból po stracie dziecka będzie jej towarzyszyć do końca życia, tym większy, że nigdy nie było jej dane tego dziecka poznać. Trzymała córkę w ramionach jeden jedyny raz, maleńką, idealnie uformowaną, jeszcze ciepłą...

Wystraszył ją niespodziewany warkot silnika samochodowego, toteż odruchowo zatrzasnęła medalion w dłoni. Podeszła do okna i wyjrzała dyskretnie na zewnątrz. Była zaledwie szósta rano, ale na obszernym podjeździe stały już trzy limuzyny, przy nich zaś kilkunastu mężczyzn w czarnych garniturach. Cofnęła się, by kontynuować przygotowywanie herbaty, od czasu do czasu spoglądała tylko za okno, ciekawił ją bowiem dalszy rozwój wypadków. Do samochodów tymczasem dołączyły motocykle, tworząc szpaler po obydwu ich stronach, chwilę później mężczyźni jak na komendę wyprostowali się, a w polu widzenia pojawił się Sebastian w towarzystwie Aloisa von Dietricha i dwóch nieznanych jej postaci w szarych garniturach. Wsiedli dośrodkowego auta i cała kolumna sprawnie odjechała, zaś Marianne długo jeszcze stała w oknie, patrząc w ślad za nimi, ściskając w dłoni gorący kubek. Scena, której dopiero co była świadkiem, uświadomiła jej po raz kolejny, jak wielką przepaść dzieliła ją i Seba,

jak mało wspólnego miały ich losy Decydując się na wyjazd do Andowarii, miała nadzieję, że dzięki temu zamknie pewien rozdział w życiu. Wszystko wskazywało na to, że jej oczekiwania miały się spełnić.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Profesor poprawił kciukiem zsuwające się jak zwykle okulary.

- Mam już kompletny zamęt w głowie. Co o tym sądzisz, Marianne?

Sięgnęła po plik dokumentów, nad którymi od jakiegoś czasu biedził się Blackwell. Szybko przebiegła wzrokiem po kilku stronach wydruku.

- Wynika z tego, że w Andowarii znajdował się jeszcze jeden zamek, którego właścicielem był Ulrich von Liechtenstein.

- Ale gdzie?

Pokręciła głową i sięgnęła po ołówek, który miała wsunięty we włosy tuż nad zbierającą je w kucyk gumką.

- Tego nie wiadomo - oznajmiła, robiąc notatkę na marginesie. - Ale może się jeszcze dokopiemy i do tej informacji.

- Może i tak, ale chyba już nie dzisiaj, jestem kompletnie wykończony. Masz ochotę wybrać się ze mną i Elianą na kolację?

- Dziękuję, ale nie. Chciałabym jeszcze dokończyć przeglądanie tych dokumentów, a potem wrócę do siebie, wykąpię się i pójdę spać.

Lubiła pracę w tym dużym, wspólnym dla wszystkich naukowców pomieszczeniu, bo panująca tam atmosfera działała na nią inspirująco. Poza tym, pracując od rana do wieczora, nie miała czasu na myślenie o Sebie, o tym, co aktualnie robi, kiedy wróci, z kim się spotyka. Mimo że miała niewiele informacji na temat jego zajęć, jej ocena jego osoby jako monarchy zmieniła się w znacznym stopniu. Tego ranka obudził ją warkot silnika helikoptera, tym razem Seb wybierał się zapewne w dłuższą podróż. Pracował długo, jego dzień rozpoczynał się wcześnie rano, a kończył późnym wieczorem.

Spostrzegła jeszcze jeden błąd w tłumaczeniu, które przekazano profesorowi, więc odnotowała poprawkę na marginesie i wsunęła ołówek z powrotem we włosy, aby go nie zgubić. Pracowała niestrudzenie, przeglądając akapit za akapitem, aż wreszcie została sama, bo wszyscy pozostali członkowie ekipy udali się już na spoczynek. Musiała przyznać, że prowadzone przez nich badania były niezwykle fascynujące. Postaci, które jeszcze do niedawna znała zaledwie z imienia, stały się w jej wyobraźni trójwymiarowe, pełne życia, nie mniej realne od współczesnych. Potarła dłonią zmęczone powieki. Przez ostatnie tygodnie nauczyła się nie wracać do swego apartamentu, póki nie była naprawdę wykończona, bo tylko wtedy sen przychodził w miarę szybko, dzięki czemu nie miała wiele czasu na rozmyślanie.

Mimo późnej pory, a także napiętego planu dnia, Seb nie czuł się jeszcze zmęczony. Wizyta w wielokulturowym centrum dla młodzieży, a także uroczyste otwarcie naj-

większego w Europie oddziału neonatologicznego nie wyczerpały ogromnego zasobu energii, jakim dysponował. Stał w oknie, przypatrując się tej części zamku, w której mieściły się gościnne apartamenty. W żadnym nie świeciło się światło, z czego wywnioskował, że Marianne już śpi. Zerknął na zegarek. Pięć po drugiej w nocy. Nie czuł się senny, a przecież rozsądek nakazywał się położyć i korzystać z okazji do odpoczynku, bo za kilkanaście godzin czekało go przyjęcie dla dyplomatów, akredytowanych przy księstwie Andowarii. Wiedział jednak, że nawet jeśli pójdzie do łóżka, to na pewno nie zdoła zasnąć, ale będzie rozmyślał o Marianne. Odlatując rano helikopterem, zerknął nieopatrznie na zabudowania gospodarcze, w których obecnie urzędowała ekipa badawcza i to jedno spojrzenie wystarczyło, by przez cały dzień w wolnych chwilach zastanawiał się, co Marianne właśnie robi, czy nadal jest zafascynowana dokonanymi odkryciami, a także jak długo planuje pozostać w Andowarii. Nie miał najmniejszego pojęcia co do postępu prac, ponieważ zaparł się, że nie zapyta o nic Wiktorii, która nadzorowała projekt. Gdyby tylko zadał choć jedno niewinne pytanie, siostra natychmiast wyciągnęłaby z jego zainteresowania błędne wnioski i nabrała niepotrzebnych podejrzeń.

Wyszedł ze swego apartamentu na korytarz i skinął głową w kierunku strażnika, który właśnie przechodził tędy w ramach obowiązkowego obchodu. Nie miał na myśli żadnego konkretnego celu, chciał się po prostu czymś zająć, w nadziei, że się wreszcie zmęczy

Zszedł po łagodnie skręcających marmurowych scho-

dach, przeszedł wzdłuż zachodniej galerii, minął jadalnię, używaną podczas oficjalnych państwowych przyjęć, aż dotarł do północnego salonu. Wszędzie światła były przygaszone, a jedynymi dźwiękami, jakie się rozlegały, było tykanie zegarów i skrzypienie starych drewnianych podłóg. Pomieszczenia, które za dnia tętniły życiem, nocą robiły wrażenie dziwnie opustoszałych, były jednak chyba jeszcze piękniejsze.

Rzucił okiem na ozdobny zegar stojący w rogu salonu. Dwadzieścia po drugiej. Skoro cały zamek zdawał się być uspiony, jego krótka wizyta w zabudowaniach gospodarczych nie powinna zostać przez nikogo - poza strażnikami oczywiście - zauważona. Przeszedł więc szybkim krokiem do łącznika, którym z pomieszczeń gospodarczych transportowano zaopatrzenie dla głównej części zamku. Spod zamkniętych drzwi sali, w której pracowali historycy, sączyło się delikatne światło. Otworzył śmiało drzwi, sądząc, że ktoś z ekipy zapomniał wyłączyć lampę. W następnej sekundzie jego wzrok odnalazł znajomą kobiecą postać śpiącą z głową opartą na leżących na biurku ramionach.

Powinien natychmiast się wycofać, ale nie był w stanie tego zrobić.

- Marianne - zawołał półgłosem, nie chcąc jej wystraszyć.

Jako że nic nie odpowiedziała, podszedł bliżej i odsunął poza zasięg jej ręki stojący tuż przy jej łokciu kubek z zimną kawą.

- Marianne - powtórzył i dotknął jej ramienia. - Obudź się, jest środek nocy.

Podniosła powoli głowę, spoglądając na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Co ty tu robisz?

- Przyszedłem z ciekawości - odparł z uśmiechem, który sam mu się cisnął na usta na widok jej rozkosznie potarganych włosów i zaróżowionych od snu policzków.

- Która godzina? - Pomasowała zdrętwiały kark. -

Chyba zasnąłam.

- Oj, zasnąłaś. Dwadzieścia po drugiej.

- Co ty tu robisz o tej porze?

- Mówiłem ci już, przyprowadziła mnie tu ciekawość.

Zresztą, to mój zamek, mogę sobie chodzić, gdzie chcę.

- Roześmiał się. - A tak poważnie, to nie mogłem spać.

- Powinieneś więcej pracować. - Sięgnęła po kubek. -

Ojej, zimna jak lód.

- Nic dziwnego, pewnie zrobiłaś ją parę godzin temu.

- Wyjął jej kubek z dłoni i przeszedł do zlewu, by wylać tam jego zawartość. - Czyżby profesor Blackwell był aż tak wymagającym przełożonym, że siedzisz tu do nocy?

- Nie, po prostu chciałam dokończyć lekturę.

- Jest aż taka wciągająca?

Już miała powiedzieć, że czyta, bo profesor nie był w stanie tego zrobić, ale w porę ugryzła się w język.

- Może.

- Bardzo jesteś tajemnicza. - Sięgnął po czajnik, by nalać do niego wody. - Masz ochotę na kawę?

- Chcesz mi zrobić kawy? - zdziwiła się.

- A czemu nie? Chyba jeszcze potrafię.

Ścisnęło ją w żołądku na wspomnienie wspólnych po-

ranków, kiedy to raczył ją wspaniałym, aromatycznym napojem.

- Może to niezły pomysł? Szkoda byłoby, gdybyś całkowicie wyszedł z sprawy. - Uśmiechnęła się ciepło.

Chwilę później powrócił do biurka z kubkiem parującej, roztaczającej kuszący zapach kawy.

- W nagrodę opowiedz mi, jakie masz plany na jutro - poprosił.

- Raczej na dzisiaj - poprawiła. - Muszę przede wszystkim wstać dość wcześnie, żeby dokończyć czytanie przez przyjściem Petera. A potem... będę jeszcze więcej czytać

- roześmiała się. - A ty?

- Muszę porozmawiać z mamą o letnim balu, a potem przygotować się do dorocznego przyjęcia dla dyplomatów.

- Jak wygląda takie przyjęcie? Jest choć trochę interesujące?

- Niespecjalnie. - Przerwał, by wypić kawę kilkoma wielkimi haustami. - Lista gości liczy około dziewięćset osób i teoretycznie mam obowiązek zamienić z każdym chociaż ze dwa słowa.

- Dość przygnębiająca perspektywa - zauważyła.

- Najgorsze są pierwsze trzy godziny, potem już idzie z górki. - Uśmiechnął się. - Na szczęście to tylko raz w roku. Chodźmy stąd. - Podniósł się niespodziewanie.

- Słucham?

- Chodźmy stąd - powtórzył. - Miałaś rację, strasznie tu zimno. Trzeba będzie coś zrobić z tym ogrzewaniem.

- Ale dokąd iść? Jest środek nocy.

- Jeśli chcesz, mogę cię oprowadzić po zamku. Może nie po całym, bo jest bardzo duży, ale po części.

Spuściła wzrok, bijąc się z myślami. Oczywiście, jedyną rozsądną odpowiedzią powinna być odmowa, ale naprawdę chciała zobaczyć zamek, a największą przyjemność sprawiłoby jej zwiedzenie go właśnie w towarzystwie Seba.

- To jak, idziesz? - Wyciągnął ku niej rękę.

Podanie mu dłoni wydało jej się tak naturalnym gestem, że uczyniła to bez wahania.

- Chciałabym zobaczyć salę balową. Czy dobrze pamiętam, że w chwili powstania była największa w Europie?

- Widzę, że czytałaś przewodnik. - Splótł palce z jej palcami.

Być może dlatego, że był środek nocy, czuła się, jak gdyby znalazła się poza czasem, jak gdyby zwykle zasady rozsądku na moment przestały obowiązywać i mogła bez ponoszenia konsekwencji robić wszystko to, na co miała ochotę.

- Czy byłaś już kiedyś tutaj? - Wprowadził ją do północnego salonu.

Skinęła twierdząco głową.

- Mam nadzieję, że zwróciłaś uwagę na sztukaterie na suficie.

- Obawiam się, że nie, ale faktycznie są piękne.

Uśmiechnął się i pociągnął ją za rękę. Chwilę później znaleźli się w korytarzu, który kończył się szerokimi, wyłożonymi marmurem schodami. Na ścianach wisiały portrety oraz obrazy o tematyce myśliwskiej, oprawione w niezwykle ozdobne, ciężkie ramy.

- Czemu jest ich tu aż tyle? - zatrzymała się przed jednym szczególnie ponurym i ciemnym.

- Bo powiesił je mój praprapradziadek i nikt nie miał odwagi ich zdjąć.

- Jak się nazywał?

- Książę Hans Adam II. Panował w latach 1853-1917. W długiej galerii znajduje się jego portret. Sprawia na nim wrażenie szczególnie zadowolonego z siebie.

- Czy znasz imiona wszystkich swoich przodków?

-Wszystkich - potwierdził, wpuszczając ją do pomieszczenia po lewej stronie korytarza. - Był to element przygotowania do objęcia tronu. Mój nauczyciel wymyślił nawet specjalną piosenkę, żeby było mi łatwiej nauczyć się tych imion w odpowiedniej kolejności.

- A któregoś dnia ktoś będzie musiał się tak uczyć twojego imienia.

- Przerazająca perspektywa, prawda? To jest największy salon w całym zamku. Nigdy nie lubiłem tych ścian obitych czerwonym jedwabiem.

Marianne ogarnęła wzrokiem bogato zdobione meble w stylu rokoko.

- A dokąd prowadzą te podwójne drzwi po przeciwnej stronie?

- Do niebieskiego salonu. W czasach mojego ojca dworska etykieta nakazywała, aby zawsze otwierać podwójne drzwi, gdy chciał przez nie przejść monarcha.

Gdy tak z błyskiem w oku oprowadzał ją po zamku, w niczym nie przypominał rzekomego playboya, o którym rozpisywała się prasa. Na pierwszy rzut oka widać było, że kochał to miejsce, znał jego tajemnice i historię. Niemal

słyszała, jak powstaje następna rysa w tarczy obronnej, którą sobie wytworzyła, by nie przeżyć kolejnego rozczarowania.

- Widzę, że okrutnie obszedłeś się z miejscowymi zwyczajami.

- Akurat ten zwyczaj zniósł mój ojciec na wyraźne życzenie mamy. Drzwi otwierano tylko przed monarchą, pozostałym śmiertelnikom musiało wystarczyć jedno skrzydło, a że księżęca małżonka była zaliczana do zwykłych śmiertelników, to...

- Nie podobało jej się to - uzupełniła. - Wcale się nie dziwię, też bym się buntowała.

Seb popatrzył na nią tak poważnym i przenikliwym spojrzeniem, że nagle zabrakło jej powietrza.

- Marianne - wyszeptał.

Zamierzał ją pocałować, była tego pewna. Co gorsza, pragnęła tego.

- Proszę - wyszeptała, sama nie będąc pewna, o co chciałaby prosić: o pocałunek, czy raczej o to, by jej nie całował.

Wypuścił gwałtownie powietrze z ust i cofnął się o krok. Postąpił rozważnie, podziwiała go za to, ale jednocześnie było jej żal...

- A tędy przechodzi się do długiej galerii. - Wskazał drzwi po prawej stronie. - To jest książe Josef Johann, który we wszystkich przekazach opisywany jest wyjątkowo niepochlebnie - stwierdził przed jednym z pierwszych wiszących tam portretów. - Panował dość krótko, bo między 1772 a 1781 rokiem, ale przez ten czas zdołał uwieść niemal połowę żeńskiej populacji księstwa. Przy-

najmniej dzięki temu zapewnił mocną pozycję genów Rodierów w narodowej puli genetycznej.

- Był przystojny - zauważyła Marianne, dodając jednocześnie w duchu, że nie aż tak przystojny jak Seb.

- A to jego syn, ksiązę Hans Adam I.

- Ten, który powiesił te obrazy na ścianach klatki schodowej?

- Nie uważałaś. To był ksiązę Hans Adam II, a ten tutaj panował od 1781 do 1805 roku i był zapalonym podróżnikiem oraz przyrodnikiem. Nie poszedł w ślady ojca, uwiódł chyba znacznie mniej panien.

- Czyżby uwodzenie należało do służbowych obowiązków monarchy? - Posłała mu groźne spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Nie, a przynajmniej nie od 1914 roku. - Uśmiechnął się łobuzersko.

Na policzki Marianne, zawstydzonej tym nieprzemysłanym pytaniem, wypłynął intensywny rumieniec.

- Nadal to robisz? - Poglądził ją delikatnie po twarzy.

- Co takiego?

- Rumienisz się.

- Niezbyt często.

- Tylko wtedy, gdy mowa o uwodzeniu niewinnych panien?

- Tylko wtedy - zgodziła się ze śmiechem. - A ty też masz portret? - zainteresowała się, gdy minęli kilka kolejnych obrazów, przedstawiających podobnych do siebie mężczyzn o wysokich kościach policzkowych, ciemnych oczach i czarnych włosach.

- Oczywiście, to obowiązek, od którego nie ma od-

stępstwa. Powieszono go tutaj, gdy wstąpiłem na tron po śmierci ojca. Proszę bardzo, to mój dziadek, to mój ojciec, a to ja.

Przebiegła wzrokiem po wizerunkach pierwszych dwóch, by zatrzymać się wreszcie przed podobizną Seba. Nie bardzo wiedziała, co spodziewała się zobaczyć, ale na pewno nie to, co ukazało się jej oczom. Wcześniejsze portrety przedstawiały mężczyzn pewnych siebie, o zdecydowanym, wręcz władczym spojrzeniu, tymczasem on wyglądał chłopięco, sprawiał wrażenie, że czuje się bardzo nieswojo w tradycyjnym uniformie. Nietrudno było wysnuć wniosek, że choć zajął swoje miejsce w szeregu, uczynił to zbyt wcześnie, nie będąc w pełni przygotowanym do pełnienia tej roli. Wreszcie zrozumiała, co miał na myśli, mówiąc, że czuł się oszołomiony rozwojem wydarzeń.

- Co to za niebieska wstęga i ozdobny krzyż?

- To Wielka Gwiazda Orderu Zasługi Księstwa Andorii. Jest wyjątkowo ciężka, chyba nie nosiłem jej od czasu, kiedy pozowałem do tego portretu.

- Wyglądasz na nim bardzo młodo.

- Bo byłem bardzo młody. Obraz został namalowany tuż przez Bożym Narodzeniem w roku, w którym się poznaliśmy.

- Masz zamiar powiesić w jego miejsce inny swój wizerunek?

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Przedstawia mnie w bardzo konkretnym, pamiętnym momencie mojego życia, to mój pierwszy portret jako monarchy, więc jest wyjątkowy.

- Pierwszy? A więc jest ich więcej?

- O, tak, pozuję przynajmniej do jednego rocznie.

Jakże różne było jego życie od tego, jakie prowadzą zwykli śmiertelnicy! Podejrzewała to od dziesięciu lat, zaś podczas wizyty w zamku Poltenbrunn raz po raz miała okazję przekonać się o tym na własne oczy. Należeli do innych światów.

- A tedy przejdziemy do sali balowej. - Wskazał kolejne podwójne drzwi. - Teraz jest przygotowana do przyjęcia dla dyplomatów, o którym ci wspominałem.

Pomieszczenie było niezwykle przestronne, a to za sprawą wysokich sufitów, których urodę podkreślały ozdobne gzymsy. Spojrzenie Marianne powędrowało w kierunku ściany, wyłożonej od podłogi do sufitu kryształowymi lustrami. Och, nie! Wpatrywała się w swe odbicie z pełnym niedowierzaniem i przerażeniem. Wyglądała strasznie, włosy miała potargane, zaś cienka lniana spódnica zupełnie nie pasowała do grubo dzianego swetra. Odruchowo sięgnęła do kucyka, zsunęła z niego gumkę i ponownie zebrała niesforne kosmyki. Natychmiast tego pożałowała, gdyż pochwyliła w lustrze rozbawione spojrzenie Seba.

- Wyglądam jak czarownica - wyjaśniła.

- Wyglądasz ślicznie.

- To tutaj odbywa się letni bal? - zapytała, chcąc odwrócić jego uwagę od faktu, że zarumieniła się po raz kolejny.

- Tak. Po jutrzejszym przyjęciu stoły zostaną usunięte i zaraz cała armia florystów oraz dekoratorów wewnątrz zacznie pracę nad przyozdobieniem sali na bal.

- To wspaniałe miejsce - wykrztusiła z trudem przez zaciśnięte gardło. - Dziękuję, że mi je pokazałeś.
Podszedł bliżej i położył jej dłonie na ramionach.
- Co się dzieje? - zapytał ciepłym tonem.
- Nic - skłamała.
- Co takiego powiedziałem, że tak posmutniałaś?
- Nic takiego. To nie twoja wina, tylko moja.
- Wina? Jaka wina? O czym ty mówisz?
- Nie rozumiałam... Opowiadałeś mi o tym w Londynie, ale nie rozumiałam. Wreszcie zobaczyłam cię jako księcia, teraz to do mnie dotarło, chyba po raz pierwszy.

Ujął jej twarz w dłonie i przesunął kciukami po jej policzkach.

- Twoje życie jest tak różne od mojego. Tu jest twoje miejsce, ja mam swoje daleko stąd. - Po policzku pociekła jej pierwsza łza, za nią druga i trzecia. - Zrozumiałam nareszcie, że przez dziesięć lat byłam na ciebie wściekła za coś, na co w ogóle nie miałeś wpływu.

Nie chciała, by tak na nią patrzył, w jego spojrzeniu było zarówno współczucie, jak i tkliwość. Jego prawa dłoń powędrowała na jej kark, masując delikatnie. Wiedziała, iż powinna się cofnąć, znaleźć poza jego zasięgiem, ale było jej tak dobrze, że nie miała siły. Pochylił twarz, by osuszyć pocałunkiem spływającą po jej policzku łzę. Potem dotknął ustami jej skroni. Pragnęła go tak samo, jak przed dziesięciu laty. Pragnęła jako mężczyzny, nie zaś jako księcia...

Musnął wargami jej usta, po czym podniósł twarz, by zajrzeć jej w oczy. Czekał na jej odpowiedź, na pozwolenie. Gdy przymknęła powieki, pochylając się ku niemu,

westchnął cicho, jak gdyby z ulgą. Ogarnęły ją znane emocje, znalazła się w ramionach, o których śniła raz po raz w ciągu ostatniej dekady. Jakże łatwo było zapomnieć, że Seb Rodier, którego tak pragnęła, nigdy nie istniał. Że całował ją książkę Sebastian, który pozostawił ją samą, bo była nieodpowiednia...

Niespodziewanie wyrwała się z jego objęć.

- Marianne? O co chodzi?

- Nie mogę. To się nie uda. Nie możemy być szczęśliwi razem.

Odsunął się o krok i nerwowym gestem przeczesał włosy.

- Musimy porozmawiać...

- Nie, Seb, nie musimy. Nie mamy o czym rozmawiać.

Przeżyliśmy we Francji wyjątkowe chwile, więc to zrozumiałe, że wciąż coś do siebie czujemy, ale nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdzieś zza ściany dobiegło ich trzaśnięcie drzwi.

- Co to było? - Marianne rozejrzała się podejrzliwie.

- Pewnie któryś ze strażników.

- Lepiej chodźmy, zanim nas spotka, bo będzie się zastanawiał, co tu robimy w środku nocy.

- Raczej nie będzie się zastanawiał - przyznał niechętnie Seb. - We wszystkich oficjalnych pomieszczeniach zamku zainstalowane są kamery.

- Co takiego? Chcesz przez to powiedzieć, że jesteśmy cały czas obserwowani?

- Tak, kiedy znajdujemy się w oficjalnych pomieszczeniach. Chodź. - Wyciągnął rękę, ale ona jej nie przyjęła.

- W moim apartamencie nie ma kamer.

- A w skrzydle gościnnym?

- Nie w samych apartamentach. Chodź ze mną - powtórzył, ale wciąż nie drgnęła.

Nie dziwił się jej reakcji, ostatecznie on był od zawsze przyzwyczajony do tego, iż każdy jego ruch był śledzony, ona zaś cieszyła się swobodą. Było to zatem dla niej nowe doświadczenie i miała prawo czuć się osaczona, a przez to zestresowana.

- Chodźmy tędy - zachęcił łagodnym tonem.

Bez słowa ruszyła za nim, ale gdy dotarli do klatki schodowej, zatrzymała się niespodziewanie.

- Trafie stąd do mojego pokoju - oznajmiła.

- Możemy porozmawiać u mnie, możemy u ciebie, dla mnie to żadna różnica, ale naprawdę zależy mi na tym, żebyśmy dokończyli tę rozmowę.

Westchnęła z rezygnacją i skinęła głową na znak, że się zgadza, więc poprowadził ją do swych pokoi. Gdy weszli do salonu, włączył dwie stołowe lampy, stojące na niskich stolikach po obydwu stronach kanapy i zachęcił Marianne, by się rozgościła, sam tymczasem zajął się przygotowywaniem whisky. Zastanawiał się jednocześnie, czy to tylko z powodu utraty prywatności sprawiała wrażenie zdruzgotanej, czy było może coś, o czym nie wiedział...

- Brakowało mi przez te wszystkie lata naszych rozmów. .. - zaczął niepewnie.

- Jakich rozmów, Seb? Przecież to zwykle ja mówiłam, a ty tylko słuchałeś - odparła z wyrzutem.

Zamilkli, bo żadne z nich nie wiedziało, co dalej. Przy-
stawiła szklankę do ust, sącząc ostrożnie bursztynowy
płyn. Powoli kłykcie jej zaciśniętych na szklance dłoni tra-
ciły swą biel, ramiona zaś wyraźnie się rozluźniały.
Postanowił dać jej trochę czasu, podejrzewał bowiem, że
jeszcze chwila, a będzie gotowa podjąć rozmowę.

- Dopiero niedawno właściwie zdałam sobie sprawę,
jak trudno ci musiało być wtedy we Francji - odezwała
się wreszcie. - Musiałeś uważać na każde słowo, żeby nie
powiedzieć za wiele. Kiedy opowiadałam o moim rodzin-
nym domu, ty ani słowem nie wspomniałeś o tym, gdzie

się wychowywałaś. Teraz rozumiem, że nie mogłeś, ale wtedy byłam zbyt głupia, by to w ogóle dostrzec.

- Właściwie nie chodzi o to, że nie mogłem - zaczął ostrożnie. - Przede wszystkim bardzo lubiłem cię słuchać, naprawdę.

Nadal to bardzo lubił. Cenił w niej tę jej niezależność, to, że nie zawsze się zgadzała z jego opiniami. Wnosiła w ten sposób świeży powiew w jego życie.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś, kto chodził do państwowej rejonowej szkoły. Kto mieszkał, mając za ścianą sąsiadów. Naprawdę pasjonowały mnie twoje opowieści o tym, jak to pan Bayden stukał w ścianę, jeśli zaczęłaś wprawki na pianinie przed ósmą rano. Nie chciałem mówić o sobie, bo wydawało mi się, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Poza tym... - zawiesił głos, zastanawiając się, jak ująć swe myśli w słowa. - Poza tym wiedziałem, że z chwilą, gdy poznasz moją tożsamość, wszystko się zmieni, a tego nie chciałem. Podobało mi się bycie Sebem Rodierem, chodzenie do kafejki, przesiadywanie nad Sekwaną, oglądanie przedstawień ulicznych...

Miała pochyloną głowę, więc tylko po cichym pociągnięciu nosem mógł się zorientować, że płacze. Po raz ostatni zachowywała się w ten sposób, pomagając mu w pakowaniu torby przed wyjazdem z Paryża... Powiedział jej wtedy, że wróci za dwa dni, i naprawdę miał taki zamiar, nie wiedział bowiem, co go czeka w domu.

- Co się z tobą działo po moim wyjeździe?

Otarła nos wierzchem dłoni, więc wstał i przeszedł do garderoby, skąd przyniósł czystą, wykrochmaloną chusteczkę. Przyjęła ją i schowała w zaciśniętej dłoni. Mil-

czała, a on milczał wraz z nią, próbując się psychicznie przygotować na to, co było dla niej takie trudne do powiedzenia.

- Kiedy skończyły mi się pieniądze i nie mogłam już dłużej mieszkać w naszym hotelu, spotkałam się z Beth i zrzuciłyśmy się na rachunek. - Znów pociągnęła trochę whisky ze szklaneczki.

Dobry Boże, zapomniał zupełnie o rachunku. Całkiem niechcący zachował się jak ostatni drań. Jak mógł pozwolić, by to ona zapłaciła za hotel?!

- Pojechałyśmy do Hornfleur. Państwo Merchand byli naprawdę bardzo mili, a Hornfleur okazało się prześlicznym miasteczkiem, pełnym uroczych kamienic. Dziewczynka, którą miałam się zajmować, była grzeczna i rezydentna, więc wszystko zapowiadało się doskonale. Tylko... tylko spóźniał mi się okres - urwała, by dać mu czas na zrozumienie sensu tych słów. - Zdziwiło mnie to, bo nigdy nie miałam z tym problemów, ale tłumaczyłam to sobie stresem po twoim nagłym wyjeździe. Wstrząsy emocjonalne potrafią wpłynąć na przebieg cyklu.

Ciąża! Marianne była w ciąży, gdy ją zostawił! Był to chyba jedyny scenariusz, który nawet mu przez myśl nie przeszedł, gdy wielokrotnie zastanawiał się, co się z nią stało.

- Byłaś w ciąży? - upewnił się.

- Owszem. W poniedziałek po przyjeździe do Hornfleur poszłyśmy z Beth kupić w aptece test ciążowy. Długo się zbierałyśmy na odwagę, zanim podeszłyśmy do okienka. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Wynik był pozy-

tywny, dwie kreski tak wyraźne, że nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie umiał wydobyć z siebie głosu. Robiło mu się niedobrze na myśl o osiemnastoletniej Marianne w obcym mieście, z dala od ojczyzny, z pozytywnym testem ciążowym w dłoni.

- Powiedziałam Merchandom, że muszę wracać do domu. Nie wyjaśniłam dlaczego, tylko że muszę wracać. Byli naprawdę bardzo mili, pomogli mi nawet kupić bilet powrotny. Beth odprowadziła mnie na dworzec...

Pochyliła głowę, jej dłonie zaczęły drżeć, a po policzkach potoczyły się łzy. Nie wiedział, co powinien zrobić. Pragnął podejść do niej, usiąść obok i przytulić ją z całej siły.

- Ona umarła, Seb - wyznała urywanym szeptem. - Jessica umarła.

Był zdruzgotany. Już sama wiadomość o jej ciąży była dla niego dużym szokiem, a tu jeszcze okazywało się, że Marianne musiała w pojedynkę poradzić sobie z dramatem utraty dziecka.

- Przepraszam, nie zamierzałam ci o tym wszystkim opowiadać.

- Ty przepraszasz mnie?! Za co? - Przesiadł się obok niej, a następnie wyjął jej z dłoni szklankę i ujął jej obydwie ręce. - Nasze dziecko umarło?

- Dałam jej na imię Jessica. - Pokiwała głową, a łzy nadal płynęły jedna za drugą po jej policzkach, więc przygarnął ją do siebie i przytulił z całej siły. - Wszyscy dopytywali się, czemu tak szybko wróciłam.

- A co na to twoi rodzice?

- Płakali. Głównie mama. Była taka rozczarowana... Zawiodłam jej oczekiwania, przyniosłam jej wstyd.

Poczuła na czubku głowy lekkie muśnięcie warg, a następnie Seb podniósł się i podszedł jeszcze raz do barku. Skorzystała z okazji, by otrzeć zapłakane policzki i wydmuchać nos.

- Masz jeszcze ochotę na whisky? - zapytał, ruchem głowy wskazując jej pustą szklankę.

- Tak, poproszę.

Obserwowała, jak wrzucał do szklanki kostki lodu, po czym polał je solidną porcją alkoholu. Ciekawa była, co też działo się w tej chwili w jego głowie. Nie był chyba na nią zły, a przynajmniej nie wyglądał, zresztą tak naprawdę nie miał chyba powodu. To ona przed dziesięciu laty doświadczyła tyle gniewu ze strony najbliższych...

Podał jej lśniąco bursztynowo szklankę. Druga whisky w ciągu godziny, matka miałaby kolejny dowód na jej upadek.

- To właśnie wtedy przeprowadziłaś się do Blackwells? - zapytał, siadając znów tuż obok niej.

- Tak. Mama nie mogła sobie poradzić z całą tą sytuacją. Uważała, że mówi o nas całe miasteczko. Zresztą, miała pewnie rację. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Nie miałam ani narzeczonego, ani nawet chłopaka, za to spodziewałam się dziecka. Zasugerowała więc, żebym się przeniósła do schroniska dla samotnych matek.

Wciąż pamiętała, jak bardzo była wtedy przerażona. W jednej chwili z ukochanej córeczki, chluby swych rodziców, przemieniła się w kogoś, kogo należy jak najszybciej ukryć przed światem. Swym nieodpowiedzialnym

zachowaniem zepsuła wszystko, nikt już nawet nie wspominał o studiach, choć jeszcze niedawno rodzice planowali dla niej karierę naukową.

- Na szczęście wtedy moja ciotka Tia zadzwoniła do swej przyjaciółki Eliany i w efekcie przeniosłam się do nich.

Przyciągnął ją do siebie. Podobało jej się to, że nic nie mówił, tylko mocno tulił. Tak bardzo tego potrzebowała przed dziesięciu laty... Wszyscy ją obwiniali, poza Elianą, która była dla niej bardzo dobra i wyrozumiała. Rozmowy z nią sprawiły, że znów zaczęła myśleć o uniwersytecie, rozważała różne scenariusze, które miały pozwolić jej pogodzić macierzyństwo z nauką. W jednym tylko nie mogły dojść do porozumienia, bo Marianne uparcie odmawiała skontaktowania się z ojcem dziecka, Eliana zaś uważała, iż miał prawo wiedzieć o tym, że zostanie tatusem.

- W którym miesiącu straciłaś dziecko?

- W siódmym. Bardzo późno. Przepraszam, że ci o tym nie powiedziałam. Na początku byłam przekonana, że się ze mną skontaktujesz, więc czekałam. Potem wyobraziłam sobie, że miałeś wypadek i straciłeś pamięć, więc nie mogłeś mnie odnaleźć. A później byłam na ciebie taka wściekła, że nie chciałam cię widzieć na oczy.

- Kiedy zorientowałaś się, że cię okłamałem?

Z wdzięcznością przyjęła fakt, że swe postępowanie nazwał po prostu kłamstwem. Podziałało to na jej skołatane nerwy jak łagodzący balsam.

- Jeszcze później. Długo niczego nie podejrzewałam, choć nie rozumiałam, czemu mnie zostawiłeś. Byłam

przeżona wszystkimi zachodzącymi we mnie i w moim otoczeniu zmianami. Odrzucenie przez rodziców bolało mnie chyba najbardziej. Nie wybiegałam myślami w przyszłość, starałam się żyć mijającym dniem.

Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy, tak by móc zajrzeć jej w oczy.

- Tak mi przykro...

W jego spojrzeniu było tak wiele ciepła. Pocałował ją w czoło i ponownie przyciągnął do siebie.

- Wszystko wydawało się takie nierealne, póki nie poczułam ruchów dziecka. - Pociągnęła łyk whisky.

- Czasem lekko kopała, czasem miała czkawkę. Kiedy poszłam na pierwsze badanie ultrasonograficzne i zobaczyłam tę małą kruszynkę, przestałam się bać.

Obiecałam sobie, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby być dla niej jak najlepszą matką. Rozwijała się prawidłowo, ja się czułam dobrze, więc powoli nabierałam pewności siebie. Aż tu pewnego dnia przestała się ruszać. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak.

Eliana mnie uspokajała, że nie ma powodu do paniki, ale zadzwoniłyśmy do położnej, która kazała na wszelki wypadek przyjechać do szpitala.

Podróż do Cambridge była jak na złość dłuższa niż zwykle. Zaczął się już popołudniowy szczyt komunikacyjny, a w dodatku parking przed szpitalem był zatłoczony i długo szukały wolnego miejsca.

- Podłączyli mnie do aparatury, żeby sprawdzić tętno dziecka... - zawiesiła głos, zastanawiając się, czy powinna wchodzić w aż takie szczegóły, czy wiadomość o dziecku nie była dla niego wystarczającym szokiem. - Tętna

nie było, więc położna zawołała doktora, ale pocieszała mnie, że urządzenia czasem się mylą. Zrobili mi badanie USG, potem drugie, obydwie wykazały to samo. „Znaczny ubytek wód płodowych i brak ruchów płodu”, jak napisali w karcie szpitalnej.

Wyprostowała się i dokończyła whisky. Od alkoholu kręciło jej się nieco w głowie, ale dzięki temu była w ogóle w stanie drążyć ten bolesny temat.

- Powiedzieli, że będą musieli zakończyć ciążę. Było to ładne określenie na to, co nastąpiło później... Dali mi zastrzyk na wywołanie skurczów porodowych.

- Musiałaś rodzić o własnych siłach?!

- Byłam już w siódmym miesiącu ciąży, wszyscy mówili, że tak będzie bezpieczniej. - Nie uszło jej uwagi, że na tę wiadomość twarz Seba wyraźnie pobladła. - Pozwolili mi ją wziąć w ramiona. Była taka śliczna... Miała takie maleńkie paluszki z maleńkimi paznokciami. Eliana powiedziała, że powinnam jej nadać jakieś imię, więc nazwałam ją Jessica, to znaczy „Bóg patrzy”. Zdaniem Eliany to był dobry wybór, bo przecież od tej pory Bóg patrzy na naszą malutką. Zrobili jej sekcję zwłok. Prawdopodobnie przyplątała mi się jakaś infekcja, która dla mnie była niezauważalna, a dla niej okazała się zabójcza. Takie rzeczy się zdarzają...

Przygarnął ją mocno do siebie i tulił długo w ramionach, kołyszając delikatnie, jak gdyby chciał uspokoić płaczące dziecko. Jakże jej tego brakowało, gdy opłakiwała małą Jessicę! Eliana była wspaniała, okazała jej tyle czułości, ale jednak najbardziej potrzebowała wtedy obecności Sebastiana.

- Około trzy tygodnie później zobaczyłam twoje zdjęcie z narzeczoną u boku.

-I w ten sposób dowiedziałaś się, kim jestem?

Skinęła głową. Wyjawiwszy swą skrzętnie skrywaną tajemnicę, poczuła się nagle tak zmęczona, iż z trudem utrzymywała otwarte powieki.

- Nienawidziłam cię wtedy z całego serca - przyznała, ledwie panując nad płaczącym się ze znużenia językiem.

- Dlatego nie mogę pozwolić, żebyś mnie skrzywdził po raz kolejny.

Powieki wydawały jej się tak ciężkie, że w końcu je zamknęła. Głos Sebastiana, wypowiadający jej imię, dobiegał ją jak gdyby z oddali. Wiedziała, że powinna odpowiedzieć, ale nie miała siły.

- Kochanie, nie zasypiaj, zaprowadzę cię do łóżka... Czowała, jak zdejmuje jej sweter, i nawet próbowała współpracować, ale tak ciężko jej było podnieść ręce. Następnie wziął ją w ramiona i uniósł wysoko, tak że wydawało jej się, że frunie...

Seb położył Marianne na swym łóżku i cofnął się o krok, by przyjrzeć jej się z zachwytem. Piękne jasne włosy leżały rozrzucone na poduszce, w dłoni wciąż ścisnęła pożyczoną od niego chusteczkę. Położył na skraju łóżka jej sweter, zastanawiał się jednocześnie, co może zrobić, by było jej jeszcze wygodniej, choć i tak sprawiała wreszcie wrażenie odprężonej. Zsunął jej ze stóp pantofle, postawił na podłodze i przeszedł do garderoby, by wydobyć z niej gruby koc dla siebie.

Nie mógł przestać się zastanawiać, co by było, gdyby

Jessica przeżyła. Może wtedy ojciec ze stryjem przyjąłby jego argumentację i mógłby się ożenić z jej matką? Może znalazłby w sobie odwagę, by postawić na swoim? Jako dziesiętnastolatek nie miał dość pewności siebie, by zakwestionować panujące obyczaje, poza tym wychowano go w przekonaniu, że z wielkimi przywilejami wiążą się równie wielkie obowiązki, jednym z nich zaś było małżeństwo z kimś o odpowiednim przygotowaniu i pochodzeniu, z kobietą, która miała przynieść chlubę Andowarii. Ożenił się zatem z Amelie, bo wszyscy uważali ją za idealną kandydatkę. Tymczasem po niedługim czasie okazało się, iż wszyscy się mylili, a kryzys konstytucyjny, który miał nadejść, gdyby jednak Seb zdecydował się na Marianne, nadszedł mimo wszystko.

Chwilę postał, obserwując jej spokojny sen, po czym przygasił światła i wyszedł do pokoju dziennego. Dopiero teraz do niego dotarło, że gdy przez te wszystkie lata pozwalał sobie od czasu do czasu pomyśleć o Marianne, zawsze wspominał ją jako kogoś, kogo musiał się wyrzec, nie zastanawiał się natomiast, jakie były dla niej konsekwencje jego decyzji. Kładąc się na kanapie, rozmyślał o tym, że choć go znienawidziła, jak sama to ujęła, nigdy nie sprzedała swej opowieści prasie, co więcej, nikomu nie powiedziała, że to on jest ojcem jej dziecka. Zachowała się szlachetnie, czego nie można było powiedzieć o nim. Powinien być przy niej, gdy ich wspólne dziecko się rozwijało, a tym bardziej, gdy umarło. Na swoje usprawiedliwienie mógł powiedzieć tylko, że naprawdę nie wziął pod uwagę możliwości zajścia w ciążę przez Marianne. Przecież byli tacy ostrożni, dbali o zabezpieczenie za każdym razem,

poza tym jednym jedynym, pierwszym... Za pierwszym razem nad rozumem wzięła górę namiętność i hormony, a ich konsekwencje musiała ponieść tylko ona. Zerwał się z kanapy i zaczął przechadzać w tę i z powrotem po pokoju. Nawet nie był w stanie wyobrazić sobie, jak się musiała czuć, gdy zobaczyła jego zdjęcia z Amelie.

Zastanawiał się, co powinien teraz uczynić, czego tak naprawdę pragnął. Przecież całując ją przed obiektywami kamer, sprowokował sytuację, w której będzie musiał zająć jakieś stanowisko. Pracownicy obsługi zamku będą się uważnie przypatrywać Marianne, traktując ją albo jak jego przyjaciółkę i potencjalną żonę, albo jak jego tymczasową kochankę. Nie było opcji pośredniej.

Podszedł do barku, by nalać sobie drugą whisky, tym razem znacznie większą niż poprzednia. Ostatecznie wiele się w ciągu ostatniej dekady zmieniło, świat poszedł do przodu. Duński książę Fryderyk ożenił się z miłości, a nie z rozsądku, podobnie hiszpański książę Filip i norweski Haakon. W dodatku Mette-Marit, wybranka tego ostatniego, była samotną matką, a naród nie tylko się od niego nie odwrócił, ale wręcz kibicował młodej parze. Tak więc jego potencjalny związek z Marianne miał szansę powodzenia, której przed dziesięciu laty po prostu nie było. W dodatku tym razem była to kwestia wyłącznie jego decyzji, nie musiał nikogo pytać o opinię ani zgodę. Przy tym wszystkim jednak nie mógł sobie pozwolić na drugi błąd. Fiasko jego pierwszego małżeństwa było wciąż szeroko omawiane w pewnych kręgach, chociaż tak naprawdę nie doszło do rozwodu, a do unieważnienia mał-

żeństwa. Na szczęście nie mieli dzieci, bo w przeciwnym razie wizerunek monarchii ucierpiałby w sposób nieodwracalny. Dlatego tym razem musiał być bardzo ostrożny w doborze partnerki, mając na uwadze jej predyspozycje do pełnienia roli książęcej małżonki, między innymi gotowość do nauki tutejszej odmiany języka niemieckiego, przyjęcia - przynajmniej w formie obrzędowej - luteranizmu, a także zrzeczenia się praw do dzieci w przypadku rozwodu.

Trudno było tego wszystkiego wymagać od nowoczesnej kobiety, która odniosła sukces w życiu zawodowym, a w dodatku nie została od małego wychowana do odegrania takiej roli. Nie było to jednak zadanie niemożliwe dla kogoś, kto naprawdę kocha.

Uchylił drzwi do sypialni, by zerknąć jeszcze raz na Marianne. Nie potrafił określić, czy była nim wciąż zainteresowana po tym wszystkim, co ją spotkało, czy była w stanie wybaczyć mu fakt, iż ją porzucił. Wiedział tylko, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by nie pozwolić jej zniknąć z jego życia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy tylko otworzyła oczy, wiedziała, że *nie* znajduje się tam, gdzie powinna. Wprawdzie ogromna, kunsztownie urządzona sypialnia wydawała jej się nieznajoma, ale nietrudno było się domyślić, do kogo należy. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały ją odgłosy rozmowy. Zamknęła oczy, starając się rozróżnić poszczególne słowa, ale nie szło jej to zbyt dobrze. Bała się wstać, na wypadek gdyby jakimś hałasem miała zwrócić na siebie uwagę i zostać w ten sposób przyłapana w łóżku Seba. Mimo iż była w pełni ubrana, czułaby się jeszcze gorzej niż w chwili, gdy dowiedziała się, że ich pocałunek został zarejestrowany przez zainstalowane w sali balowej kamery.

Niespodziewanie rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

- Śniadanie - oznajmił Seb,

Przeszło jej przez myśl, że mogłaby się szybko położyć i udawać, że śpi, dzięki czemu zyskałaby jeszcze odrobinę czasu na decyzję co do sposobu postępowania. Niestety, drzwi się otworzyły i musiała porzucić ten sprytny plan. W wejściu stanął Seb, wciąż w tym samym stroju, co poprzedniego wieczoru, z lekkim zarostem na twarzy, ale mimo wszystko uśmiechnięty i odprężony.

- Za chwilę będzie śniadanie - poinformował.

- Dla mnie?
 - Oczywiście, że dla ciebie. Czego się napijesz, kawy czy herbaty?
 - A która jest godzina?
 - Ósma. - Przeszedł przez pokój i usiadł na skraju łóżka.
 - Jak się czujesz?
 - Dobrze. - Starła się, by ton jej głosu nie zdradził, jak bardzo się czuje skrepowana zaistniałą sytuacją. - Przepraszam, nawet nie pamiętam, jak zasnęłam.
 - Szybko - roześmiał się.
 - A ty gdzie spałeś?
 - Na kanapie.
- Ta wiadomość sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej zażenowana. Postawny mężczyzna musiał się zmieścić na niedużej kanapie, bo ona nie potrafiła ocenić, ile może wypić alkoholu.
- Przepraszam.
 - Ależ nie masz za co. To była bardzo ciekawa i ważna rozmowa. Teraz zaś powinnaś coś zjeść. - Podniósł się i skierował ku wyjściu. - Kawa czy herbata? - zapytał jeszcze raz, zatrzymując się w drzwiach.
 - Poproszę o herbatę.

Gdy tylko została sama, wyskoczyła jak oparzona z łóżka. Im szybciej wróci tam, gdzie jej miejsce, tym lepiej. Cieszyła się, że powiedziała mu o Jessice, czuła, że pozbyła się w ten sposób ciężaru, który przytłaczał ją już od tylu lat. Gdyby się przy tym tak nie rozkleiła i nie zasnęła w końcu w jego apartamencie, byłaby już całkiem zadowolona, a tak to wstydziła się mu spojrzeć w oczy. Nie przypominała sobie, by o własnych siłach dotarła do

jego sypialni, musiał więc ją tu sam przynieść. Rozejrzała się za butami. Nigdzie ich nie widziała, a w dodatku nie pamiętała momentu ich zdejmowania, z czego wynikało, iż zajął się nimi Seb. Dobrze, że na nich poprzestał, bo gdyby obudziła się w samej bieliźnie, nie byłaby chyba w stanie mu się pokazać.

Gdy wyszła z sypialni, zastała go pogrążonego w lekturze gazety. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- Nie mogę znaleźć nigdzie butów - przyznała z lekkim zażenowaniem.

- Pewnie wyniosłem je do garderoby, gdy szedłem po koc dla siebie. Usiądź, bo herbata stygnie.

- Nie powinnam jak najszybciej wyjść, zanim ktoś się zorientuje, że tu jestem?

- Dlaczego?

- Bo ktoś mógłby mnie zobaczyć...

- Żaden paparazzi nie ma wstępu do zamku. Chodź, herbata czeka - zachęcił.

Przeszła boso po cudownie miękkim, acz kompletnie niepraktycznym kremowym dywanie. Nie wiedzieć czemu, bez butów czuła się całkowicie bezbronna.

- Zawsze jesz tu śniadanie?

- Zwykle tak.

Gdy usiadła, odłożył gazetę na bok. Zupełnie niepotrzebnie, bo i tak czuła się dostatecznie niezręcznie. Śniadanie we dwoje sugerowało swego rodzaju bliskość, wręcz intymność, a ona nie była na to przygotowana. Opowiedziała mu o Jessice właśnie po to, by zrozumiał, dlaczego nie może ulec temu, co wciąż się między nimi tliło.

- Jak mnie zamierzasz stąd wydostać? - przerwała milczenie.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zacząć się na pokojówkę, która przyniesie nam śniadanie. Przebrałabyś się w jej strój i wymknęła przez okno po trejażu, na którym rozpięta jest winorośl.

-Co takiego?!

- Żartowałem. - Uśmiechnął się znad swej filiżanki. - Proponuję, żebyś skorzystała z tej samej drogi, którą tu przyszliśmy.

- Ale ja nie... - urwała, bo do apartamentu weszła pokojówka, prowadząc wózek z ogromną ilością niedużych tac i półmisek.

Zerknęła na Seba, spodziewając się, że ujrzy w jego oczach panikę lub przynajmniej zażenowanie, ale on ze spokojnym wyrazem twarzy odstawił filiżankę na stół, jak gdyby nigdy nic.

- Nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę, więc poprosiłem o przygotowanie wszystkiego po trochu - stwierdził, jak gdyby jedzenie śniadania w towarzystwie kobiety było dla niego codziennością.

Być może faktycznie tak było, nie pytała go przecież, a tabloidy lubowały się w opisywaniu jego podbojów. Nawet gdyby brać pod uwagę zaledwie połowę tych relacji, wynikało z nich, że nie prowadził raczej pustelniczego trybu życia. Marianne jeszcze bardziej niż do tej pory zapragnęła znaleźć się z powrotem w swoim apartamencie. Czuła się jak wtedy, gdy ojciec przyłapał ją na całowaniu się z pierwszym w jej życiu chłopakiem po zakończeniu szkolnej dyskoteki.

- Wszyscy teraz pomyślą, że tu spałam - poskarżyła się, gdy pokojówka zniknęła za drzwiami.

- Bo przecież spałaś.

- Tak, ale wolałabym, żeby nikt nie wiedział, bo wyjdzie na to, że ty i ja... - urwała, bo nie mogła znaleźć odpowiedniego określenia, a on i tak doskonale wiedział, co miała na myśli.

- Zapewniam cię, że wszyscy pracownicy rozumieją potrzebę dyskrecji...

- Ale nie o to chodzi! Co z tego, że nic nie powiedzą, skoro sobie pomyślą.

- Podejrzewam, że byłabyś zaskoczona, wiedząc, co sobie myślą. Od czasów Amelie nie przywiozłem do Poltenbrunn żadnej kobiety.

- Co z tego? Mnie chodzi o mój prestiż jako naukowca. Nie chcę, żeby moi współpracownicy myśleli, że ty i ja...

Zajęła się smarowaniem grzanki, by uniknąć spoglądania mu w oczy.

- Że ty i ja...? - powtórzył z rozbawieniem.

- Że jesteście kochankami - dokończyła dobitnie. - Proszę bardzo, powiedziałam to, jesteś zadowolony? Nie chcę, żeby ludzie uważali mnie za twoją kochankę.

- Dlaczego?

- Bo już tego spróbowałam i dziękuję, nie mam chęci na powtórkę. - Podniosła do ust grzankę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła i odłożyła ją z powrotem na talerzyk.

- W moim świecie, Seb, nie liczy się, czy ktoś jest odpowiedni, czy nie, kim są jego rodzice...

- Naprawdę? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- A niby skąd ty to możesz wiedzieć? Twoje jedyne ze-

tknięcie z prawdziwym światem trwało zaledwie kilka tygodni, co cię nie czyni ekspertem w dziedzinie tego, co zwykli ludzie robią i myślą.

Uwielbiał, kiedy tak się zapalała do jakiegoś tematu, gdy broniła swej opinii, nawet niekoniecznie racjonalnej, jak lwica.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że twoi rodzice z równym entuzjazmem przyjęliby wiadomość, że chcesz wyjść za narkomana, syna miejscowego przestępcy, jak i za prawnika, syna szanowanego w okolicy lekarza?

- Wiesz dobrze, że ten przykład ociera się o granice absurdu - zachnęła się.

- Cóż, moje życie bywa z punktu widzenia normalnych ludzi nieco absurdalne. Co nie zmienia faktu, że nie mogę sobie pozwolić na nieprzemyślane kroki.

- Jakież to romantyczne!

- Niestety, jedyny w moim życiu okres, gdy mogłem robić, co chciałem, to tych parę tygodni, spędzonych z tobą we Francji.

Spuściła wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć.

Seb zrozumiał, że właśnie nadszedł ten trudny moment, w którym powinien ubrać w słowa wszystkie trudne przemyślenia, jakie nie dawały mu zasnąć ostatniej nocy.

Wprawdzie przerażała go definitywność tego kroku, ale musiał go podjąć, jeśli widział jakąkolwiek wspólną przyszłość dla siebie i Marianne.

- Jakie są twoje uczucia wobec mnie? - zaryzykował.

- Przecież ja cię właściwie teraz nie znam.

- To prawda. Ale potrzebuję wiedzieć, jakie żywisz wo-

bec mnie uczucia - powtórzył w nadziei, że usłyszy, iż zależy jej na nim. - Proszę, to dla mnie ważne.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się lekko. Powinien był się domyślić, że ta znacznie bardziej dojrzała i pewna siebie Marianne będzie się opierać przed odpowiedzią na tak postawione pytanie.

- Ponieważ cię pocałowałem.

- Nie widzę związku.

Podniósł się, bo znacznie łatwiej mu się myślało w ruchu. Nie był dobry w mówieniu o swych uczuciach, nie miał w tym wiele praktyki, nie potrafił dobierać słów, nawet nie wiedział, jak zacząć.

- Pocałowałem cię, choć tego nie chciałem.

Jej zmarszczone czoło sugerowało, że trafił jak kulą w płot.

- To znaczy chciałem, ale nie miałem takiego zamiaru. Już wtedy w Amiens zaczepiłem cię, choć tego nie planowałem. Pojechałem z tobą do Paryża, choć nie powinienem. Próbuję przez to powiedzieć... dość nieudolnie, przyznaję... że nie jesteś mi obojętna.

Aż się sam skrzywił, słysząc swoje słowa. Że też musiał użyć tak niekonkretnego sformułowania na określenie bardzo konkretnych uczuć, jakie ku niej żywił. Może lepiej było powiedzieć, że po raz drugi w życiu sięgał po coś, czego naprawdę pragnął? Po nią...

- Nie jestem ci obojętna? - powtórzyła, unosząc jedną brew.

Przyjrzał się jej uważnie. Miała bose stopy, jej spódnica była pognieciona od spania, twarz nie nosiła ani śladu

makijażu, a włosy znajdowały się, delikatnie mówiąc, w nieładzie. Mimo że spotykał się z modelkami, aktorkami, dziedziczkami wielkich fortun, które bez mrugnięcia okiem mogły sobie sprawić stroje od najlepszych projektantów czy zafundować najdroższe zabiegi upiększające, tylko ona jedna wprawiała jego serce w szalone bicie. Wystarczyło, by na nią spojrział, a już miał ochotę odwołać wszystkie zaplanowane na ten dzień spotkania. Zawsze tak było, począwszy od dnia, w którym się poznali. Nie była to jedynie fizyczna fascynacja, po prostu lubił z nią przebywać, rozmawiać z nią, słuchać jej przemyśleń.

Podniosła się, zostawiając zaledwie nadgryziony tost i nietkniętą herbatę.

- Na mnie już pora. Potrzebuję jeszcze tylko butów. Domyślam się, że garderoba jest tam? - Ruchem głowy wskazała na drzwi, sąsiadujące z wejściem do sypialni.

Gdy zniknęła mu z oczu, wpadł w panikę. Czuł, jak gdyby coś najcenniejszego wymykało mu się z rąk, a on nie wiedział, jak to zatrzymać. Jediną propozycją, jaką mógł jej złożyć, było małżeństwo, ale na takie rozmowy było jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Poza tym musiał dać jej czas na zorientowanie się, co się mieści w ramach obowiązków monarchy i jego małżonki, powoli wprowadzać ją w swoje życie, obserwować jednocześnie reakcję opinii publicznej. Było to rozsądne, zrównoważone podejście, niestety całkowicie pozbawione romantyzmu. Nie mógł paść przed nią na kolana i oświadczyć się tu i teraz, poczucie odpowiedzialności za kraj, a także za nią samą, nie pozwalało mu tego uczynić, choć bardzo tego pragnął.

- Próbuję powiedzieć... - zaczął jeszcze raz, gdy pojawiła się ponownie w salonie, tym razem już w butach i swetrze. - Że bardzo mi na tobie zależy.

- Rozumiem cię doskonale - przerwała oschle, co sugerowało, że jednak nie rozumiała nic.

-Marianne...

- Przestań! Po prostu przestań. Może to dla ciebie nowość, Wasza Księżęca Wysokość, ale mnie nie da się kupić i nie zamierzam tracić dla ciebie głowy tylko dlatego, że jesteś księciem. Jestem pewna, że szybko znajdziesz kobietę, która również nie będzie ci obojętna i nie będzie jej przeszkadzało, że nie jest osobą odpowiednią, by się z nią związać na dłużej.

- Zupełnie nie o to mi chodziło.

Minęła go, nawet nie patrząc w jego stronę. Jak mógł ją tak potraktować? Jak mógł przypuszczać, że byłaby w ogóle zainteresowana związkiem z nim na warunkach, jakie mógł jej zaoferować?

- Czyżby? - prychnęła. - A o co, że tak spytam z ciekawości?

Położyła już dłoń na klamce, więc szybko podszedł do niej i ujął ją za drugą rękę.

- Chcę dzielić z tobą życie.

- A ja ci mówię, że nie jestem zainteresowana.

- Nie słuchasz mnie. Chcę, żebyś znów miała okazję mnie poznać, przekonać się, jak by to było zostać księżną Andowarii.

Marianne zacisnęła na moment powieki. Nic z tego nie rozumiała. Niby wiedziała, co znaczy każde słowo z osobna, ale nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, gdy długo milczała.
- Nie wiem - przyznała, wciąż oszołomiona. - Czy to ma cokolwiek wspólnego z Jessicą?

- Nie. Tak. - Przeczesał palcami włosy. - Może w pewnym sensie.

- Tak myślałam.

- Przez całą noc siedziałem i myślałem o tobie. - Jego głos był aż schrypnięty z emocji. - O Jessice. O tym, jak wyglądałoby moje życie...

- Gdyby ona żyła?

-Tak...

- Wiesz co, nic z tego nie rozumiem - zniecierpliwiła się. - Czy prosisz mnie, żebym została twoją żoną w ramach rekompensaty za śmierć Jessiki? Jeśli tak, to możesz sobie darować, naprawdę nieźle sobie radzę.

Nie była to całkowita prawda, ale nie widziała potrzeby wdawać się w szczegóły. Ostatecznie radziła sobie jakoś, raz lepiej, raz gorzej, miała udane życie zawodowe, nie mogła narzekać.

- Nie powiedziałam ci o Jessice po to, żebyś się czuł winny czy litował się nade mną, ale uznałam, że powinienś o niej wiedzieć, skoro była także i twoim dzieckiem. Poza tym chciałam, żebyś zrozumiał, czemu nie mogę mieć kolejnego romansu z tobą. Nie jestem na to dość silna.

- Ależ ja zupełnie nie o to proszę. Chodź, usiądźmy.

Nie czekając na odpowiedź, ujął ją pod ramię i zaprowadził z powrotem do stołu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając na siebie raz po raz.

- Ożeniłem się z Amelie, ponieważ mój ojciec przy-

jaźnił się z arcyksięciem Saxen-Broden, czyli jej ojcem. Amelie była i jest niezwykle piękną i inteligentną kobietą, doskonale posługuje się pięcioma językami, od zawsze obracała się wśród arystokracji, a na dodatek nigdy nie uczyniła nic, co wywołałoby skandal.

- Czyli istota doskonała.

- Moi rodzice też tak sądzili, podobnie zresztą jak mój naród. Ludzie ją kochali, kibicowali nam obydwójgu, popularność monarchii rosła. Ojciec dokładnie tego oczekiwał, aranżując nasze małżeństwo. A mnie było całkowicie obojętne, z kim się żenię, skoro nie mogłem mieć ciebie.

Podniosła na niego lśniąca od powstrzymywanych łez oczy.

- Spędziłem razem zaledwie pięć tygodni, byłeś zwykłą angielską dziewczyną spoza arystokratycznych kręgów, dla moich rodziców moje ewentualne małżeństwo z tobą było szaleństwem. Ojcu, który całe swe panowanie spędził na budowaniu silnej monarchii, takie coś nie mieściło się w ogóle w głowie. Tymczasem mnie nie było łatwo poślubić Amelie. Przed oficjalnym ogłoszeniem zaręczyn spotkaliśmy się zaledwie kilka razy i nie wiedziałem o niej praktycznie nic, poza tym, że jest dobrą kandydatką na żonę księcia. Teraz już wiem, że nie powinienem był się z nią ożenić, skoro nadał kochałem ciebie.

Splotła mocno palce, tak bardzo była przejęta jego słowami.

- Pamiętam, jak stałem w zakrystii w dniu mojego ślubu, ubrany w galowy mundur, tuż przed przyjazdem panny młodej do kościoła, i zastanawiałem się, co w tym momencie robisz, czy jesteś szczęśliwa... Mimo to wziąłem

ślub z Amelie, ale szybko okazało się, że rola księżęcej małżonki zupełnie jej nie odpowiada, ponieważ wymaga wygłaszania przemówień, rozmawiania z obcymi, życia na widoku. Oficjalne kolacje stanowiły dla niej istną katorgę, nie lubiła być fotografowana ani krytykowana za dobór stroju. Poruszanie się w towarzystwie ochroniarzy szalenie ją męczyło i irytowało. Teraz, z perspektywy lat wiem, gdzie tkwił błąd. Ona mnie po prostu nie kochała, więc nie umiała udźwignąć tego ciężaru, ponieważ nie miała dostatecznej motywacji.

Podniósł się gwałtownie i przeszedł w kierunku okna. Marianne przesunęła odrobinę krzesło, tak by móc go obserwować, bo jego reakcja wydała jej się ciekawa. Twierdził, że nie kochał Amelie, a jednak rozpad małżeństwa wyraźnie go bolał.

- A co ona teraz porabia?

- Mieszka w Stanach, pisze doktorat, o którym zawsze marzyła. Wydaje się szczęśliwa.

- Ale ty nie jesteś szczęśliwy, prawda?

- Mam poczucie porażki. Odsetek rozwodów jest w Andowarii niezwykle niski, ludzie tutaj są bardzo przywiązani do tradycji, a rodzina znajduje się na szczycie listy priorytetów. Jeśli kiedykolwiek ożenię się po raz drugi, nie będzie mowy o rozwodzie czy drugim unieważnieniu, dlatego powiedziałem, że będziesz musiała się dokładnie przyrzec temu, co w praktyce oznacza bycie księżną. Chciałbym bardzo mieć jak najwięcej okazji, abyśmy się mogli lepiej poznać, ale wiem, że gdy tylko reporterzy dowiedzą się, że się spotykamy, natychmiast cię opadną jak stado sępów. Nietyl ko ciebie, ale też twoją rodzinę i przy-

jaciół. – Odwrócił się przodem do niej. - Nawet jeśli się ostatecznie nie pobierzemy, zawsze będziesz znana jako była dziewczyna księcia Andowarii, twoja twarz będzie powszechnie znana, a wszystkie szczegóły twojego życia interesujące dla ludzi, których nigdy nawet nie spotkałaś.

Zacisnęła na moment powieki. Jeszcze wczoraj wydawało jej się, iż wie, dokąd zmierza jej życie, teraz zaś stała na rozstaju dróg i nie miała pojęcia, którą ostatecznie wybrać.

- Nie jest to łatwe - ostrzegł. - Isabelle bardzo źle to znosi, choć teoretycznie powinna się już dawno przyzwyczaić. Amelie również mocno cierpiała. Nie oczekuję od ciebie odpowiedzi teraz, przemyśl to sobie dokładnie, zastanów się, czy będziesz szczęśliwa, żyjąc ze świadomością, że cały czas obiektywy aparatów fotograficznych i kamer są w ciebie wycelowane, że nagrania będą analizowane aż do najdrobniejszego szczegółu. Pomyśl o tym, jak to wpłynie na twoją karierę naukową. O tym, że każda twoja wypowiedź będzie mogła zostać zinterpretowana jako polityczna.

Nerwowym gestem założyła kosmyki włosów za uszy, usiłując się skoncentrować na tym, co tak naprawdę próbował jej powiedzieć.

- Czy to znaczy, że chciałbyś się ze mną spotykać?

- Tak, mam wobec ciebie naprawdę poważne zamiary, jeśli tylko uznasz, że jesteś gotowa podjąć to ryzyko - potwierdził z ulgą.

- Nie rozumiem, co się zmieniło. Przecież w Londynie

powiedziałaś... Czemu teraz mógłbyś się ze mną ożenić, skoro dziesięć lat temu było to niemożliwe?

Rozległo się krótkie stukanie do drzwi.

- To pewnie Alois. Przyszedł omówić dzisiejszy plan dnia.

Podszedł do drzwi, uchylił je lekko i powiedział coś półgłosem. Marianne nawet nie próbowała zrozumieć, co mówił, taka była oszołomiona.

- Pytasz, co się zmieniło. - Odwrócił się i uśmiechnął ciepło, jak gdyby odgadł, jak się czuje. - To, że dzisiaj księżęta mogą się żenić z miłości. Co więcej, takie małżeństwa, wbrew wcześniejszym obawom, przydały monarchiom popularności, uczyniły je bliższymi zwykłym ludziom.

- A czy nie wybuchnie skandal, jeśli wyjdzie na jaw, że byłam z tobą w ciąży, zanim jeszcze ożeniłeś się z Amelie?

- Owszem, istnieje takie niebezpieczeństwo, ale gdyby ktokolwiek miał dostęp do tych informacji, już dawno zostałyby ujawnione. Zwłaszcza przy okazji mojego rozstania z Amelie. Nickowi mogę ufać bezwzględnie, a gdyby Beth chciała sprzedać naszą historię, zrobiłaby to przez tych dziesięć lat.

- Na pewno nie!

- W takim razie możemy sobie nie zaprzętać tym głowy.

Najważniejsze teraz jest, żebyś się zastanowiła, czy w ogóle chciałabyś za mnie wyjść. Im dłużej zdołamy ukryć naszą znajomość przed mediami, tym więcej będziesz miała czasu na podjęcie decyzji. Nie ma sensu wywoływać

sensacji, póki nie będziemy mieć jako takiej pewności, że chcemy się pobrać.

- Nie wiem... - Podniosła się. - To takie trudne...

Podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Chciałbym, żebyś o tym pomyślała, bo zdaje się, że znów się w tobie zakochuję - wyznał, spoglądając jej w oczy.

Ledwie się zorientowała, a już poczuła na ustach jego wargi. Jego pocałunek był czuły, delikatny i niezwykle zmysłowy, jak gdyby chciał w ten sposób przekonać ją, by dała im jeszcze jedną szansę...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minęły dwadzieścia cztery godziny, a Marianne wciąż nie była pewna swej decyzji. Ilekroć stwierdzała, że gotowa jest zaryzykować i dać się ponieść uczuciom, jakie żywiła wobec Sebastiana, pamięć podsuwała jej wspomnienia tych trudnych miesięcy po powrocie z Francji, gdy czuła się oszukana i skrzywdzona. Tym razem także nie dawał jej żadnej gwarancji trwałego związku, jedyne, co mógł jej zaoferować, to kolejna próba. Niezależnie od ostatecznego rezultatu, przyjęcie tej oferty oznaczało kolosalne zmiany w jej życiu, a nie była przekonana, iż jest na takie zmiany w pełni gotowa. Nie miała szansy przekonać się, jak by to było prowadzić życie księżnej, póki ową księżną nie zostanie, a wtedy już będzie zdecydowanie za późno na jakiegokolwiek wątpliwości.

Gdyby Seb złożył jej tę propozycję dziesięć lat temu, na pewno by się nie wahała, ale teraz była starsza, bogatsza w doświadczenie, bardziej przewidująca. Ślub z nim można było porównać do wyjścia za mąż za kogoś, kto ma dzieci z poprzedniego związku. On i Andowaria stanowili jedno i wiążąc się z nim, musiała też zaakceptować jego funkcję. Nie chodziło tylko o przeprowadzkę do obcego kraju, ale też o przyjęcie panujących w nim zwyczajów, a także

akceptację zasad życia w świetle jupiterów.

Czy naprawdę będzie w stanie pogodzić się z tym, że ludzie będą ją uważać za ważną tylko dlatego, że wyszła za mąż za księcia? Że być może straci dotychczasowych przyjaciół, a nowych nie znajdzie ze względu na skomplikowany dworski protokół? Że nigdy nie będzie mogła mieć pewności, czy ktoś lubi ją dla niej samej, czy dla prestiżu, jaki przynosi mu znajomość z nią? Jak sobie poradzi z mediami, które tak uprzykrzyły życie księżniczce Isabelle? Jak będzie się czuć, mając na każdym kroku świadomość, że dla fotoreporterów jej kompromitujące zdjęcie jest znacznie cenniejsze niż takie, które przedstawia ją w pozytywnym świetle? Czy dobrze będzie znosić nieustanną krytykę jej stylu ubierania?

Nie miała przekonania, że jest w stanie wziąć na siebie takie brzemię, ale alternatywą było definitywne rozstanie z Sebem, a myśl o tym była nie do zniesienia... Gdy byli razem, nie myślała wcale o tym, że jest księciem, liczyła się tylko jego obecność, ciepło, roztropność.

Była tak pogrążona w rozmyślaniach, że cień, jaki niespodziewanie padł na stół, przy którym siedziała, przestraszył ją nie na żarty. Podniosła wzrok. W wejściu do altany, gdzie odpoczywała w ramach przerwy śniadaniowej, stał Seb, ubrany w elegancki czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat.

- Och - jęknęła, gdy drżącą ręką potrąciła kubek z kawą, rozchlapując trochę na stół i spódnicę. - Myślałam, że cie nie ma. Słyszałam helikopter...

- Zaraz odlatuję, ale poprosiłem pilota, żeby poczekał na mnie chwilę. Widziałem, jak tu szłaś.

Spuściła wzrok, niespodziewanie zawstydzona jak nastolatka.

- Dokąd się wybierasz?

- Na granicy Andowarii i Szwajcarii miała miejsce katastrofa kolejowa - wyjaśnił, siadając obok. - Lecę, żeby jakoś pomóc.

- Jest wielu rannych?

- Prawdopodobnie tak. Jak na razie, wydobyto trzydzieścioro poważnie rannych, ale to niestety nie koniec.

- A ofiary śmiertelne?

- O ile wiem, to nie. Mam nadzieję, że tak pozostanie, bo to dla mnie zawsze najtrudniejsze, nie umiem sobie z tym radzić.

Odruchowo wyciągnęła rękę i pogłaskała go po dłoni.

- Niestety, wypadki się zdarzają, nic na to nie poradzimy.

Przynajmniej starasz się pomóc, a to już cenne. Ostatecznie sama twoja obecność może przyspieszyć akcję ratunkową, przecież każdy będzie próbował się wykazać przed księciem.

- Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy.

- Masz rację. - Odpowiedział uśmiechem. - Czy podjęłaś już może decyzję?

- Tak -. odparła niespodziewanie dla samej siebie. - Tak, podjęłam.

- Naprawdę? I jaka ona będzie? Tak czy nie?

-Tak!

Ujął jej twarz w dłonie i czule pocałował ją w usta. Paradoksalnie drżenie jego rąk dodało jej pewności siebie. Może jeszcze sam tego nie wiedział, ale ona miała już pewność, że kocha ją nadal, może nawet mocniej niż przed dziesięciu laty.

- Powinieneś już iść.

- Pewnie tak. Miałem nadzieję, że uda nam się dzisiaj zjeść wspólnie kolację, ale nie wiem, o której wrócę.

Wszystko zależy od tego, co tam zastanę.

- Trudno. Przełożymy to na kiedy indziej.

- W sobotę będzie bal - przypomniał, spoglądając jej w oczy. - Przyjdiesz?

- Na bal?

- Tak. Przekonasz się wówczas, czy poddasz takiemu wyzwaniu.

Po jej plecach przebiegł dreszcz. Prawdziwy bal na książęcym dworze, gdzie wszyscy będą na nią patrzeć i zastanawiać się, kim jest. Obydwoje wiedzieli, iż będzie to prawdziwy punkt zwrotny w jej życiu, bo od tej pory wszyscy będą ją postrzegać jako partnerkę księcia, być może przyszłą księżną.

- Przyślę do ciebie Aloisa, ustalicie szczegóły. - Pochylił się i pocałował ją ponownie, tym razem jednak odważnie. - Do zobaczenia w sobotę, może wcześniej.

Obserwowała, jak oddała się w kierunku lądowiska. Nie była pewna, czy podjęcie decyzji przyniosło jej większą ulgę, czy może obawę o konsekwencje dokonanego wyboru.

Zanim Marianne wróciła tego wieczoru do swego apartamentu, miała już dosyć tematu balu, ponieważ od momentu, gdy do ekipy historyków dotarły zaproszenia, w biurze nie rozmawiano o niczym innym. Zaproszeni zostali doktor Leibnitz, profesor Blackwell z żoną, dwaj kierownicy ekip badawczych wraz z partnerkami oraz

Marianne. Nikt nie wiedział, co się kryje za tym intrygującym zdarzeniem, wszyscy bowiem byli świadomi, iż jest to pierwszy przypadek, że pracownicy zamku zostali zaproszeni na takie prestiżowe wydarzenie. Tylko Marianne знаła prawdę, nie mogła jednak nikomu jej zdradzić, więc nim minął dzień, czuła się wyjątkowo zmęczona ukrywaniem swej roli w całej sprawie.

Nastawiła właśnie czajnik z wodą, by zrelaksować się przy filiżance herbaty, gdy rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

- Już idę - zawołała, spodziewając się ujrzeć za drzwiami profesora lub Elianę. - Właśnie przygotowuję... - urwała, stanąwszy twarzą w twarz z Aloisem von Dietrichem.

- Jego Książęca Wysokość poprosił, żebym omówił z panią jutrzejszy plan dnia. - Sekretarz Sebastiana uśmiechnął się, widząc jej konsternację.

- Ach - wykrztusiła. - Oczywiście, proszę wejść. Może herbaty?

- Nie, dziękuję.

Podeszła do stojącego przy oknie fotela, bo nogi tak jej drżały, że groziło jej w każdej chwili omdlenie i upadek na podłogę.

- Proszę usiąść - zachęciła, zastanawiając się jednocześnie, co Alois myśli na jej temat. Czy aprobuje decyzję Sebastiana, czy raczej uważa to za nierozsądne posunięcie? Co naprawdę sądzi o tym, że Marianne spędziła noc w apartamencie jego pracodawcy?

- Umówiłem Di Benedetta na jutro na dziewiątą - zaczął bez zbędnych wstępów sekretarz. - Gianferro Di Benedetto

przywiezie kilka balowych sukni, mam nadzieję, że któraś z nich przypadnie pani do gustu. Chyba że ma pani jakiegoś innego ulubionego projektanta, doktor Chambers?

- Nie, dziękuję, kreacje od Di Benedetta bardzo mi się podobają.

Nie wierzyła własnym uszom. Miała okazję wybrać się na bal w sukni od projektanta, o którego przed każdą galą zabiegały najbardziej wzięte hollywoodzkie aktorki!

- Niestety, spotkanie musiałem umówić na tak wczesną godzinę, żeby był czas na wykonanie ewentualnych poprawek. Książę Sebastian zasugerował, że być może czułaby się pani swobodniej, przybywając na bal w towarzystwie profesora Blackwella i jego małżonki.

- Tak, to doskonały pomysł - przyznała, splatając drżące palce.

- W takim razie proponuję, żeby spotkali się państwo tutaj o dwudziestej. Przyślę kogoś, aby przeprowadził państwa przez stanowisko ochrony.

- Dziękuję.

Alois zamknął teczkę i podniósł się.

- Jutro będę towarzyszyć pani podczas spotkania z Di Benedetto. Tymczasem życzę dobrej nocy.

Dźwięk nadlatującego helikoptera zmusił ją do zerknięcia przez okno.

- Czy to książę Sebastian?

- Jego Książęca Wysokość wróci prawdopodobnie dopiero jutro rano.

- Czy już coś wiadomo o rozmiarach katastrofy?

- W tej chwili oficjalny bilans rannych wynosi sześćdziesiąt pięć osób, trzy nie żyją.

Wydawało jej się dziwne, że sekretarz Seba wie więcej niż ona. Było to dla niej całkowicie nowe doświadczenie, jedno z wielu, jakie ją czekały...

- A kto w takim razie przyleciał tym helikopterem?

- Młodsza siostra księcia Sebastiana. Uznaliśmy, że przy tej chmarze fotoreporterów, czekających przy bramie zamku, przyjazd autem może nie być bezpieczny.

Gdy wyszedł, przyłożyła chłodne dłonie do rozpalonych policzków. Biorąc pod uwagę, że suknie od Di Benedetta kosztowały więcej niż jej miesięczna pensja, była przekonana, iż Eliana zacznie coś podejrzewać, więc zastanawiała się, ile może zdradzić. Nie zamierzała przyznać się, że to Seb był ojcem jej dziecka, ale bardzo chciała zwierzyć się swym bliskim z decyzji, jaką podjęła. Nie wiele myśląc, narzuciła sweter, wsunęła ponownie stopy w pantofle i pospieszyła do apartamentu, który zajmowali Blackwellowie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Od wielu lat Marianne sama doskonale radziła sobie z garderobą, ale ktoś najwyraźniej uznał, że tego wieczoru potrzebna jest jej pomoc, bo opadła ją cała armia specjalistów, którzy sprawnie przystąpili do dzieła. Gianferro osobiście doglądał wszystkiego, chcąc, by jego dzieło zostało zaprezentowane jak najlepiej, podczas gdy fryzjer upinał włosy w pozornie niedbały kok, a manikiurzystka malowała jej paznokcie na odcień idealnie dobrany do barwy kreacji.

Marianne czuła, że wygląda jak księżniczka. Cóż, chyba właśnie o to chodziło Sebastianowi. Mimo wszystko była przerażona, żałowała, iż nie udało im się zamienić nawet paru słów od czasu rozmowy w altanie.

- Pospiesz się - zawołała z drugiego pokoju Eliana. - Ile czasu można nakładać naszyjnik?

Wykonała kilka głębokich wdechów. Czuła się jak początkująca łyżwiarka, której trener kazał się wreszcie puścić bandy. Zwykle wyjście z sypialni wydawało jej się niezmiernie trudnym zadaniem.

- I co o tym sądzisz? - zapytała, wchodząc do salonu.

- Myślę, że wyglądasz rewelacyjnie - pochwaliła Eliana, wstając, by móc ją obejrzeć ze wszystkich stron. - Zawsze

uważałam cię za piękną kobietę, ale dziś jesteś wypielegnowana jak najcenniejsza róża.

- Nie jestem pewna, czy dam radę w tym usiąść - zaśmiała się, wygładzając perłową suknię. - W tkaninę wplecione jest jakieś włókno usztywniające...

- Chyba nie będziesz miała okazji siadać, już pora się zbierać.

Marianne dotknęła opuszkami palców medalionu w kształcie serca, który powiesiła na szyi. Gianferro postulował wypożyczenie brylantowego naszyjnika, ale tak bardzo jej zależało na włożeniu własnej biżuterii, iż w końcu ustąpił.

- Gotowa? - zapytał profesor.

Obawiała się, że gdyby nie starannie zaplanowany przez Aloisa program wieczoru, nigdy nie poczułaby się gotowa i nie wyszłaby nawet za próg. Na szczęście przysłany przez niego opiekun zapukał do drzwi właśnie w tym momencie, nie mogła więc dłużej zwlekać. Podniosła wysoko głowę. Czekąco ją ogromne wyzwanie, ale musiała mu sprostać. Kochała Seba, chciała być z nim, dlatego była w stanie zmobilizować się i udowodnić wszystkim wątpliwym, iż jest odpowiednią kandydatką na księżną.

Dzięki Aloisowi ich przejście do sali balowej było szybkie i bezproblemowe. Czująco się co najmniej dziwnie, mijając bez zatrzymywania śmietankę towarzyską Europy, karnie ustawioną w kolejce do wejścia przyozdobionego girlandami z białych róż i lilii. Piękna już sama w sobie sala balowa przystrojona była kunsztownymi kompozycjami kwiatowymi, które w dodatku pachniały wręcz oszałamiająco. Gdy weszli, Elianie wyrwało się westchnienie

zachwytu. Marianne całkowicie ją rozumiała, bo choć po nocnej eskapadzie z Sebem była niby przygotowana na ten widok, udekorowana sala wzbudziła w niej jeszcze większy podziw.

Z bijącym sercem rozejrzała się dokoła. Oczy wszystkich były utkwione w jeden punkt.

- Ich Książęce Wysokości - zapowiedział mistrz ceremonii - Książę Sebastian i księżna matka Arabella.

W tym momencie do sali balowej wszedł Seb, trzymając pod rękę matkę. Wyglądał jak gdyby nie robiło na nim najmniejszego wrażenia, iż stanowi centrum uwagi ponad tysiąca osób. Ze spokojem i swobodą prowadził książęcy pochód w kierunku środka pomieszczenia, a gdy szli, mijane osoby dygały i kłaniały się, co z daleka wyglądało jak osobliwa odmiana meksykańskiej fali. Mniej więcej w centrum sali rodzina książęca rozproszyła się i każdy podążał w innym kierunku, by osobiście powitać przybyłych gości. Gdy w pewnym momencie księżniczka Isabelle znalazła się w ich okolicy, Marianne pochwyciła fragmenty jej rozmowy, w czasie której doskonale posługiwała się kilkoma językami, płynnie zmieniając je w zależności od potrzeby.

- Nie powinnaś do niego podejść? - zastanawiała się szeptem Eliana.

- Wydaje mi się, że nie. Muszę poczekać na swą kolej, przecież w gruncie rzeczy on tu pracuje.

Niewątpliwie sytuacja, w której w jednej sali zgromadzonych było tak wielu możliwych tego świata, nie nadarzała się często, tak więc dla polityka, a tym bardziej monarchy

stanowiła cenną okazję do załatwienia kilku spraw wyższej rangi.

- Doktor Chambers? - Alois wyrósł tuż obok jak spod ziemi. - Jego Książęca Wysokość prosi, aby pozwoliła pani ze mną.

Z bijącym sercem podążyła za sekretarzem, który sprawnie, bez najmniejszego kłopotu przeprowadził ją przez gęsty tłum gości. Gdy znaleźli się przed Sebastianem, dygnęła lekko i spojrzała w jego śmiejące się oczy.

- Myślałem, że ustaliliśmy, że nie będziesz tego robić - wyszeptał, pochylając się, by pocałować ją w policzek.

- Czegóż się nie robi, by dobrze wypaść - odpowiedziała z uśmiechem.

- Doceniam twoje poświęcenie. - Podał jej dłoń. - Za chwilę rozpoczną się tańce, a ja nie mam partnerki.

Zerknęła dyskretnie na boki, by upewnić się, czy nikt tego nie widzi.

- Możesz tak trzymać mnie za rękę?

- A jak niby mam z tobą tańczyć, nie trzymając cię w ogóle? - Poprowadził ją na środek sali i objął w tali.

Jak gdyby z pomocą czarów w sekundę później rozległy się pierwsze takty walca.

- A co byś zrobił, gdybym nie umiała tańczyć?

- Nie wiem, ale wiedziałem, że umiesz.

- Skąd?

- Wyszedłem z założenia, że mistrzyni tańca hrabstwa Essex w kategorii standard do lat szesnastu powinna umieć zatańczyć walca.

- Mówiłam ci o tym?

- Owszem, i w porę sobie o tym dziś przypomniałem,

próbując wymyślić jakiś sposób, by móc cię publicznie objąć.

Zadrzała, słysząc te słowa, bo choć sprawiły jej wielką przyjemność, to jednocześnie wprawiły ją w zadziwienie. Tańcząc z nią pierwszy taniec wieczoru, wzbudził ogromne zainteresowanie jej osobą, a przecież nie tak się umawiali.

- A tak w ogóle to wyglądasz przepięknie - pochwalił.

- Co ty robisz? - zapytała zdezorientowana.

- Tańczę z tobą.

- To wiem, ale czemu?

- Bo mam na to ochotę.

- Ale przecież mieliśmy spotykać się w tajemnicy, przynajmniej póki nie zdecydujemy, że jesteśmy gotowi ujawnić nasz związek.

- To prawda.

- W takim razie co się zmieniło?

Zamiast odpowiedzieć, przycisnął ją mocniej do siebie i zawirowali w tańcu.

- Spotkajmy się za zewnątrz za dwadzieścia minut - wyszeptał wprost do jej ucha. - Przy trzecim wyjściu od lewej strony.

Gdy walc dobiegł końca, Seb przekazał ją Aloisowi, który z kolei odprowadził ją do przyjaciół. Na myśl o sekretnym spotkaniu, jakie czekało ją za dwadzieścia minut, drżały jej ręce, ale nie ze strachu, lecz z niecierpliwości. Już się nie bała, bo w oczach Sebastiana ujrzała znajome iskierki, które pamiętała jeszcze z Francji.

O umówionej porze wymknęła się dyskretnie na taras. Zaczęło się już zmierzchać, więc alejki w ogrodzie oświet-

lono pochodniami, które wprowadzały niezwykle romantyczny nastrój. Spacerowało tam wprawdzie wiele osób, jednak nikt nie zwracał na nią specjalnej uwagi, co było miłą odmianą po tym, jak w sali balowej obserwowały ją dziesiątki par oczu. Być może ci, którzy zdecydowali się na przechadzkę w ogrodzie, nie widzieli jej tańca z księciem, nie wykazywali zatem zainteresowania jej osobą.

Zastanawiała się właśnie, czy aby na pewno czeka przy dobrych drzwiach, gdy poczuła na ramieniu dotyk czyjejś ręki.

- Seb! - zawołała, odwracając się gwałtownie.

- Ćśś - syknął, po czym przygarnął ją do siebie i pocałował. - Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do labiryntu. - Ruchem głowy wskazał ciągnący się wzdłuż krótszego boku tarasu żywopłot.

- Ale zmarnuję sobie buty!

- Kupię ci następne.

- Nie mnie. Przecież są wypożyczone.

- W takim razie nie masz się czym martwić. - Pociągnął ją za rękę do wnętrza zielonego labiryntu. - Muszę wreszcie dać ci porządnego całusa.

To powiedziawszy, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta, ona zaś bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję, by być jeszcze bliżej. Gdy po chwili odsunął się, jego twarz rozświetlał promienny uśmiech.

- Chodź - zarządził, splatając palce z jej palcami.

- Trafisz, mam nadzieję, z powrotem? Wyszłoby trochę niezręcznie, gdyby musiano nas ratować.

Słyszając jego wesoły śmiech, doszła do wniosku, że tak

szczęśliwego nie widziała go od czasu, gdy byli razem we Francji.

W centrum labiryntu znajdowała się szczelnie osłonięta krzewami ławka.

- Po co tu przyszliśmy? - chciała wiedzieć.

- Po to, żebym mógł cię pocałować bez świadków.

Masz coś przeciwko temu?

Przez chwilę udawała, że się zastanawia.

- Nie - odparła wreszcie. - Raczej nie.

- Kocham cię - wyznał niespodziewanie, czym sprawił, że serce na moment przestało jej bić.

Powiedział jej kiedyś, że ją kocha, ale było to dawno, jeszcze w Paryżu, gdy był nastolatkiem. Jako dorosły, odpowiedzialny mężczyzna mówił jej to po raz pierwszy, dlatego wywarło to na niej aż tak silne wrażenie.

Powiódł opuszkami palców po jej policzku, po szyi, aż dotarł do medalionu.

- Pamiętam go - szepnął, po czym znów pochylił się, by ją pocałować.

Gdyby mógł, całowałby ją tak długo, aż łzy, które lśniły w jej oczach, znikłyby całkowicie. Nie chciał, by płakała, by wspominała te wszystkie zmarnowane lata. Zmarnowane przez niego... Pragnął zacząć wszystko od nowa i każdego dnia czynić ją coraz szczęśliwszą.

- Seb, co się zmieniło? - zapytała, kładąc mu dłonie na piersi. - Przecież proponowałeś mi coś zupełnie innego.

Miała rację, jego propozycja zmieniła się, bo on się zmienił. Pociągnął ją w kierunku ławki.

- Czy jest czysta? - ociągała się. - Mam kremową sukienkę.

Parsknął śmiechem, tak jak śmiał się wiele razy, gdy przemawiał przez nią ten nieugięty głos rozsądku. Tak jak wtedy, gdy przed laty tłumaczyła mu, że kąpiele nago w jeziorze to zabawa ludzi niezorganizowanych, niepamiętających o zabranii kostiumu, a skoki na bungee to rozrywka dla osób pozbawionych wyobraźni.

- Ty to wiesz, jak zrujnować romantyczny nastrój - żartował. - Trudno, chodź więc na kolana.

- Jestem za ciężka!

- Ależ skąd, jesteś w sam raz. Nie chcesz chyba, żeby Gianferro miał do nas żal o zniszczenie jego dzieła.

Gdy już usiadła, nie oparł się pokusie muśnięcia ustami nasady jej szyi.

- Seb, powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Kocham cię. - Podniósł rękę, by ją uciszyć, bo już otwierała usta, chcąc protestować. - Pragnę się z tobą ożenić. Wczoraj siedziałem na szpitalnym korytarzu z mężczyzną, którego żona była ranna w tym wypadku kolejowym. Nie było wiadomo, czy przeżyje pięciogodzinną operację...

Opowiadał mi o tym, jak bardzo ją kocha. Był spokojny, bo, jak mówił, i tak było im dane przeżyć wspólnie więcej szczęśliwych chwil niż wielu innym parom. Nie zmarnowali ani godziny, więc nie miał czego żałować.

- Czy przeżyła...?

- Tak. A ja widziałem jego twarz, gdy dowiedział się, że najgorsze już za nią.

Ujął ją pod brodę i skierował jej twarz ku sobie, by móc zajrzeć jej w oczy. Kobiecie, którą kiedyś zranił, po-

zostawił w potrzebie, samotną, oczekującą ich wspólnego dziecka. Miał sobie tyle do zarzucenia, sumienie wyrzucało mu lekkomyślność i niedojrzałość.

- Nie chcę marnować już więcej czasu. Wyjdiesz za mnie? Marianne?

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiktoria chodziła w tę i z powrotem po salonie matki, aż wreszcie pełnym wściekłości ruchem rzuciła gazetę na stojący nieopodal niski stolik.

- Cóż za nieodpowiedzialność! Czy ty w ogóle się zastanawiałeś, co robisz?!

Seb zerknął na pierwszą stronę dziennika, choć z góry wiedział, co tam znajdzie.

- Jak to się stało, że reporterzy dostali się na teren zamku? - zapytał spokojnie.

- To zupełnie nieistotne. Zapewniałeś mnie, że między tobą a doktor Chambers nic się nie dzieje, a tu proszę, w najlepsze ją całujesz.

- Bo wtedy nic między nami nie było. - Wstał i podszedł do okna, by zerknąć na apartamenty gościnne. - A teraz jest.

- Poznaje ją. - Isabelle sięgnęła po gazetę. - To z nią tańczyłeś wczoraj na balu.

Skinął głową na potwierdzenie.

- Jest bardzo piękna.

- To prawda. - Uśmiechnął się.

- Ty to zawsze wiesz, co powiedzieć - warknęła starsza siostra do młodszej. - Od dwóch miesięcy media prześci-

gają się w rewelacjach o twoich wybrykach, a teraz Sebastian postanowił wtrącić swoje trzy grosze. Nic dziwnego, że jedna trzecia społeczeństwa uważa nas za kosztowny przeżytek.

- Nie jedna trzecia, Wiktorio - wtrąciła się matka. - Tak uważa mniejszość, choć akurat bardzo głośna. Moim zdaniem największą stratą jest to, że ta historia zepchnęła relacje o twojej pomocy ofiarom wypadku kolejowego aż na trzecią stronę, Sebastianie. Na szczęście to się da jeszcze naprawić.

- Zamierzam ożenić się z Marianne - oznajmił Seb, odwracając się od okna.

- Czy poprosiłeś ją już o rękę? - zapytała księżna Arabella, korzystając z tego, że Wiktorio ciągle jeszcze próbowała odzyskać głos.

-Tak.

- Nie wierzę własnym uszom. - Siostra opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Zakochałem się w niej dziesięć lat temu i chcę się z nią wreszcie ożenić.

- Jesteś monarchą, a nie zwykłym człowiekiem, tobie nie wolno tak po prostu się zakochać! Masz zobowiązania wobec narodu, wobec rodziny. Nie możesz się ożenić z jakąś pazerną Angielką, która dla kaprysu chciałaby zostać księżną.

- Doktor Chambers jest poważnym naukowcem - odparł lodowatym tonem. - Będzie musiała się zdobyć na duże poświęcenie, by za mnie wyjść.

- A dziesięć lat temu była nieodpowiedzialną dziewczyną, która przespała się z ledwie znanym jej chłopakiem.

- Dość tego!

- Wiktorio, uspokój się, to nie jest takie najgorsze rozwiązanie. Przecież Sebastian wiele razy podkreślał w wywiadach, że jeśli się po raz kolejny ożeni, to uczyni to z miłości, i jakoś nie słyszałam, żeby się to przyczyniło do spadku jego popularności. Wręcz przeciwnie, uważa się go z tego powodu za bliskiego zwykłym ludziom.

- Chyba nie mówisz poważnie?! - Wiktoria nie dawała za wygraną.

- Oczywiście, że tak. Wydaje mi się, że opinia publiczna przyjęłaby takie małżeństwo z aprobatą.

- Szczególnie że małżeństwo z dobrze urodzoną panną nie zakończyło się sukcesem - wtrąciła się Isabelle.

Księżna matka rzuciła córce karcące spojrzenie.

- Bardzo chętnie poznam tę twoją doktor Chambers - zwróciła się do syna. - Zdajesz sobie jednak sprawę, że takie zdjęcia na pierwszych stronach gazet zmuszają nas do zajęcia jakiegoś stanowiska...? - Przerwało jej stukanie do drzwi. - Proszę wejść!

- Wasza Księżęca Wysokość. - Alois von Dietrich uklonił się w progu. - Czy mogę mówić z księciem Sebastianem? W cztery oczy - dodał, widząc wahanie w oczach swego chlebowdawcy.

- Wyglądasz, jak gdyby świat się walił - zażartował Seb, gdy znaleźli się we dwóch na korytarzu.

- Bo tak jest - mruknął sekretarz, wyjmując spod pachy teczkę na dokumenty. - To ukazało się dziś rano w Londynie. Zakładam, że ktoś musiał się zainteresować doktor Chambers, gdy zamieszkała w zamku, bo chyba w ciągu nocy by tego nie wydobył.

- Co tam masz? - zaniepokoił się Seb, który jeszcze nigdy nie widział Aloisa w takim stanie.

Tamten otworzył teczkę i wyjął z niej wydruk. Na niewyraźnym, niewątpliwie dość starym zdjęciu widać było Marianne. Nie byłoby w tym nic sensacyjnego, godnego zainteresowania ze strony mediów, gdyby nie fakt, że Marianne była wtedy w widocznej ciąży.

- To się już ukazało w londyńskiej prasie? - upewnił się Seb.

- Tylko w jednym dzienniku.

W jednym, ale należało się spodziewać, że nie minie dzień, gdy przedrukują je wszystkie mniej lub bardziej plotkarskie tytuły.

- Z tego, co się dowiedziałem, ta publikacja spowodowała już słuchaczy pewnej audycji radiowej do dyskusji na temat tego, jaka powinna być kandydatka na żonę jednego z najbardziej popularnych monarchów Europy.

Seb zaklął pod nosem. Jeszcze raz zerknął na trzymane w ręku zdjęcie. Gdy usłyszał od Marianne o losie ich maleńkiej córeczki, wydawało mu się, iż rozumie, jak się musiała wtedy czuć, ale gdy zobaczył ją na fotografii, ogarnęła go znów złość na samego siebie, że potraktował ją jak ostatni drań.

- Biuro prasowe przeżywa w tej chwili prawdziwe obłędzenie - ciągnął Alois. - Media domagają się oficjalnego oświadczenia w sprawie pańskiego związku z doktor Chambers. Wielu komentatorów wyraża też wątpliwość, czy powinien pan gościć swoją kochankę w zamku. Biuro prasowe przygotowało już wstępny tekst oświadczenia,

sugeruje jego publikację przed osiemnastą, kiedy to większość telewizyjnych programów informacyjnych zamyka wydanie.

Seb skinął głową na znak, że przyjął to wszystko do wiadomości, i wrócił do apartamentu matki.

- Londyńskie tabloidy nie próżnowały - zauważył ironicznym tonem, podając jej teczkę z wydrukiem.

Bez słowa wyjęła ze środka zdjęcie i przez chwilę wpatrywała się w nie uważnie.

- Ona ma dziecko? - zapytała wreszcie.

- Było moje - oznajmił stanowczo. - Urodziło się martwe 17 kwietnia...

- I Bogu dzięki! - zawołała Wiktoria. - To znaczy... - zawahała się, widząc wzrok brata. - Chodzi mi o to, że gdyby się okazało, że masz nieślubne dziecko, na utrzymanie którego nie łożyłeś, byłby to katastrofalny cios dla prestiżu monarchii.

Księżna matka podniosła się, by sięgnąć po papierosy, które trzymała w komodzie na pamiątkę rzuconego przed laty nałogu.

- Kochanie - zwróciła się do syna. - Rozumiesz chyba, że w tej sytuacji nie możesz się z nią ożenić...

Marianne ze złością zatrzasnęła pokrywę laptopa. Dość się już naoglądała. W głębi serca obawiała się, że wcześniej czy później to nastąpi, choć nie miała pojęcia, skąd się to zdjęcie w ogóle wzięło. Przeszłość powróciła, by nie dać szansy przyszłości. Zgodnie stwierdziły z Beth, że choć jeszcze nikt nie określił daty powstania tej fotografii, było to tylko kwestią czasu, a gdy na jaw wyjdzie

tożsamość ojca jej dziecka, skandal osiągnię niewyobrażalne rozmiary...

Jak to dobrze, że nie ogłoszono jeszcze oficjalnych zaręczyn, bo wtedy nie zniosłaby publicznego upokorzenia, jakim byłaby nieuchronna zmiana planów, a doskonale rozumiała, że w obecnej sytuacji nie mogło być mowy o ślubie. Seb wprawdzie ją kochał, ale swój kraj kochał jeszcze bardziej, zresztą był odpowiedzialny za jego naród, za przyszłość monarchii.

Instykt podpowiadał jej jak najszybszą ucieczkę i może był to przejaw tchórzostwa, ale zamierzała mu się poddać, bo nie umiała znieść myśli o tym, że miałyby usiąść obok Seba i wysłuchać wszystkich argumentów, dla których nie mógł się z nią ożenić. Uciec, ale dokąd? Wzięła kilka głębokich oddechów, by zebrać rozproszone myśli. Jej dom w Cambridge nie wchodził w rachubę, bo niewątpliwie był już otoczony tłumem fotoreporterów. Dom rodziców? Beth? Blackwellów? Wszystkie te miejsca były wykluczone z tych samych przyczyn. Zresztą, jak miała się wydostać z zamku niezauważona przez paparazzich? Gdyby nawet jej się udało, czy mogła liczyć na to, że nikt jej nie zauważy na lotnisku i nie powiadomi wszędobylskich reporterów?

Wyjmując z garderoby walizkę, walczyła z wyrzutami sumienia, bo zdawała sobie sprawę, że zawiodła profesora, jako że w dużej mierze od jej pomocy zależało powodzenie największego przedsięwzięcia w jego karierze naukowej. Tymczasem ona musiała się ewakuować w pośpiechu, nie znalazłszy nawet dla siebie zastępstwa.

Szybko zapełniła walizkę, ale gdy sięgnęła po szkatuł-

kę z biżuterią, usiadła na moment, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jej wnętrze. Wreszcie podjęła decyzję, wyjęła stamtąd medalion, otworzyła go i tak położyła na poduszce. Podniosła się i skierowała do wyjścia. Choć rozmowa z Peterem na pewno nie mogła należeć do łatwych, Marianne liczyła, że Blackwellowie pomogą jej znaleźć sposób na bezpieczny powrót do kraju.

- Masz ochotę na herbatę? - zapytała Muriel Blackwell z przeciwległego końca dużej, urządzonej w wiejskim stylu kuchni. - Wyglądasz na kogoś, komu dobrze by zrobiła filiżanka mocnej herbaty.

- Dziękuję. Myślę, że raczej pójdę na długi spacer.

- Przyda ci się trochę świeżego powietrza. - Muriel uśmiechnęła się, nie przerywając zagniatania ciasta na chleb.

Wychodząc na wijącą się polną drogę, Marianne wspominała swą niezbyt elegancką, ale skuteczną ucieczkę z Andowarii. Stwierdziła nawet, że za jakieś dwadzieścia lat cała ta historia wyda jej się zapewne szalenie zabawna, choć teraz nie było jej raczej do śmiechu. Skulona na podłodze samochodu Blackwellów, nakryta kocem oraz cała masą przeróżnych pudeł, nie była raczej nastrojona szczególnie pogodnie, zwłaszcza że musiała zostawić walizkę w apartamencie Eliany i Petera, więc do Muriel i Johna Blackwellów przybyła nawet bez szczoteczki do zębów.

Przeszła przez drewnianą furtkę w żywopłocie i usiadła na prostej ławce, z której roztaczał się szeroki widok na okoliczne pola i łąki. Bardzo lubiła spędzać tam czas,

wdychać woń rozgrzanej słońcem trawy, przysłuchiwać się trelom ptaków, a nawet warkotowi silników przejeżdżających w oddali pojazdów.

Minęły dwa dni od jej przyjazdu do Norfolk. Przez ten czas ani razu nie zajrzała do gazet, odmawiała oglądania telewizji, nie włączyła też radia. Potrzebowała spokoju, wyciszenia, dlatego jej kontakt ze światem zewnętrznym ograniczał się do przechadzek po okolicy oraz pogawędek z gościnną Muriel.

- Marianne!

Odwróciła się gwałtownie.

-Seb?!

- Powiedziano mi, że cię tu znajdę.

- Co ty tu robisz? - Nie wierzyła własnym oczom.

- Szukam cię. - Uśmiechnął się.

- Po co?

- Zapomniałaś czegoś. - Wyciągnął w jej kierunku dłoń, na której spoczywał medalion.

- Nie zapomniałam. Zostawiłam go dla ciebie. Nie miałeś zdjęcia Jessiki...

Podszedł i usiadł przy niej.

- Wolałbym widzieć, jak ty go nosisz. - Zawiesił jej łańcuszek na szyi.

Gdy go zapinał, jego palce musnęły skórę na jej karku, przez co wzdłuż kręgosłupa przebiegł ją dreszcz. Przed oczyma stanął jej dzień, w którym Seb podarował jej ten medalion.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy jakoś upamiętnić Jessicę. - Wyciągnął przed siebie nogi i utkwiał spojrzenie w wodach przepływającej na wprost nich rzeki. - Na

przykład ustawić pomnik w reprezentacyjnym ogrodzie przez zamkiem Poltenbrunn. .

Spojrzała na niego oczyma, w których zbierały łzy.

- Niepotrzebnie uciekłaś, Marianne. Nie płacz, proszę.

- Opuszkami palców stał delikatnie kroplę, która potoczyła się po jej policzku.

- Nie widziałeś tego zdjęcia? - wykrztusiła z trudem, bo z emocji głos wiązał jej w gardle.

- Widziałem. - Pochylił się i pocałował ją czule. - Nie przejmuj się nim, nie warto.

- Ale powiedziałaś...

- Powiedziałem wiele głupich rzeczy. Tak naprawdę liczy się to, że cię Kocham i że ty Kochasz mnie.

- Andowaria nie zaakceptuje takiej księżnej.

- Nie będzie miała innego wyjścia. Kocham cię i chcę spędzić z tobą resztę życia. Jeśli będę musiał z tego powodu abdykować, niech będzie i tak.

- Ale... - zaczęła, kręcąc głową.

- Nie ma żadnego „ale”. Podjąłem już decyzję. Gdybyś nie uciekła, wiedziałabyś, że podjąłem ją jeszcze tego samego dnia, gdy twoje zdjęcie ukazało się w brytyjskiej prasie.

- Jak to?

- Wydałem oświadczenie, że dziecko, które w tym czasie nosiłaś, było moje. Że biorę pełną odpowiedzialność za swe działania i ustąpię z tronu, jeśli taka będzie wola narodu. Oznajmiłem też, że cię Kocham i mam nadzieję, że zgodzisz się być moją żoną.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni dzinsów małe pudełeczko i otworzył je, ukazując platynową obrączkę z pięcioma lśniącymi brylantami.

- Zgodziłaś się wcześniej wyjść za mnie. Czy zechcesz nosić mój pierścionek?

Marianne ukryła twarz w dłoniach. Kochała Seba ponad wszystko na świecie, dlatego nie mogła pozwolić, by dla niej porzucił wszystko, co się w jego życiu liczyło. Co będzie, jeśli w pewnym momencie spojrzy na nią realistycznie i stwierdzi, iż nie była warta takiego poświęcenia?

- Nie mogę się na to zgodzić...

Zamknął pudełko i odłożył je na bok, by móc ją przygarnąć do siebie.

- A ja nie potrafię żyć bez ciebie. Jeśli nie zgodzisz się za mnie wyjść, będę musiał i tak opuścić Andowarię, żeby zamieszkać blisko ciebie i móc cię codziennie przekonywać, że jednak mnie kochasz.

Ciepło, bijące od jego silnych ramion, osłabiało jej stanowcze postanowienie.

- Będziesz tego żałować...

- Będę żałować, jeśli za mnie nie wyjdiesz. Od ciebie zależy, co będziemy robić dalej. Jeżeli chcesz, jeszcze dziś abdykuję i przeprowadzę się z tobą do Anglii. Ty będziesz kontynuować karierę naukową, a ja poszukam sobie jakiegoś zajęcia. Możemy też wrócić do Andowarii i ogłosić zaręczyny, a potem zająć się wyborem projektu pomnika dla upamiętnienia naszej małej córeczki.

- Co ludzie powiedzą?

- Cokolwiek im ślina na język przyniesie, jak to zwykle ludzie. A my nie musimy się tym przejmować, to nasze życie i jedynie my mamy prawo o nim decydować. Niezależnie od tego, co powiedzą, nie zamierzam spędzić kolejnych dziesięciu lat bez ciebie, budząc się każdego ranka

z żalem do samego siebie, że nie umiałem obronić własnego wyboru. Wyjdiesz za mnie, Marianne? Zechcesz mieć ze mną dzieci, zestarzeć się ze mną?

Przez dłuższą chwilę rozmyślała o tych wszystkich argumentach, dla których powinna kategorycznie odmówić, ale żaden nie był dość istotny, by przeważyć ten jeden jedyny argument za.

- Kocham cię, Seb. Zawsze cię kochałam.

- A więc co postanawiasz? - Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Zostajemy w Anglii czy jedziemy do Andowarii?

- Do Andowarii - zdecydowała, bo czuła się umocniona jego miłością. - Jeśli tylko zechce dać mi szansę.

Ponownie sięgnął po pudełeczko i otworzył je, by zaprezentować jego zawartość.

- Podoba ci się?

- Bardzo - roześmiała się. - Gdyby nie był taki piękny, pewnie nie dałabym się przekonać.

Wsunął pierścionek na jej serdeczny palec.

- Teraz już jesteś moja - oznajmił z triumfem. - Na dobre i na złe.

Musnął opuszkami palców jej policzek, po czym wsunął dłoń w jej włosy. Przyciągnął ją do siebie i pocałował najczulej, jak potrafił.

EPILOG

Mimo opadów śniegu na trasie z zamku do katedry Poltenbrunn ustawiły się tysiące widzów. Droga przystrojona była girlandami z gałązek jodły oraz ostrokrzewu, a także czerwono-złotymi taśmami i wstążkami. Gdziekolwiek Marianne spojrzała, witały ją rozpromienione twarze ludzi, którzy życzyli dobrze jej i Sebowi. Tiara nadal jej nieco ciążyła, mimo że od dwóch miesięcy ćwiczyła chodzenie w niej, wciąż także musiała pracować nad pozdrowieniem dłonią, które w wykonaniu Seba wyglądało tak naturalnie.

- Zdenerwowana? - Uśmiechnął się ojciec, ściskając jednocześnie jej rękę.

- Tylko troszeczkę. - Odwzajemniła uśmiech.

Była niezmiernie wdzięczna zarówno jemu, jak i matce, że zgodzili się przyjąć zaproszenie. Nie miała im za złe tego, co zrobili przed dziesięciu laty, ostatecznie każdy miał prawo do błędów, których ona sama popełniła co niemiara.

Lśniący rolls-royce zatrzymał się u stóp schodów prowadzących do katedry. Świadomość, że od tej chwili oczy milionów ludzi będą na nią skierowane, była nieco oniesmielająca. Bawiła ją również myśl, iż w wielu krajach Eu-

ropy za moment rozpocznie się wyścig projektantów, którzy będą się starali jak najwierniej odwzorować jej suknię ślubną i jak najszybciej dostarczyć jej kopie do sklepów. Wszystko to jednak traciło na znaczeniu w porównaniu z faktem, że w katedrze czekał na nią tej jeden jedyny mężczyzna, z którym chciała spędzić resztę życia. Mężczyzna, który był gotów wyrzec się tego wszystkiego, aby być przy niej.

Wysiadła więc spokojnie i cierpliwie odczekała, aż projektant ułoży jej welon, a następnie wszystkie fałdy pięciometrowego trenu, wykonanego z delikatnego jedwabiu, haftowanego ręcznie w kunsztowne wzory. Gdy skończył, ujęła w dłonie wiązanek bladoróżowych róż oraz białych lili i ruszyła powoli w górę po schodach prowadzących do katedry. Każdemu jej krokowi towarzyszyły błyski fleszy, ale niespodziewanie nie robiło to na niej większego wrażenia. Liczył się tylko ten mężczyzna, który na pierwsze dźwięki organów wstał ze swego miejsca przed ołtarzem i odwrócił się w kierunku wejścia. Pierwszy raz widziała go ubranego w galowy mundur i musiała przyznać, że wyglądał w nim olśniewająco, jak na księcia przystało. Jednak to nie jego książęcy status przywiódł ją do tej świątyni, lecz miłość, której dowody dał jej wielokrotnie w ciągu paru miesięcy ich narzeczeństwa. Zbliżając się powoli do ołtarza, widziała tylko jego jednego, nie zwracała uwagi na licznie zgromadzone koronowane głowy, na najwyższych dostojników wielu państw europejskich, na polityków ani dyplomatów. Nie dostrzegała nawet uroczych, oszałamiających zapachami kompozycji kwiatowych, którymi przybrana była katedra. Dla niej liczył

się tylko Seb, a gdy stanęła z nim twarzą w twarz, całkowicie zapomniała o wielotysięcznym tłumie, otaczającym świątynię. Jak we śnie odpowiadała na wezwania kapłana, swym niedoskonałym niemieckim akcentem powtarzała słowa przysięgi, aż wreszcie podała ukochanemu dłoń, by wsunął jej na palec platynową obrączkę.

Akt ślubu podpisywała już jako Marianne, księżna Andowarii. Czowała się z tym nieco dziwnie, świadoma całkowicie nowych obowiązków i wyzwań, w których na szczęście od tej chwili miał jej towarzyszyć ktoś, komu ufała bezgranicznie.

Seb ujął ją pod rękę i poprowadził w kierunku wyjścia z katedry, gdzie czekały na nich wiwatujące tłumy.

Z wszechogarniającego hałasu zdołała wyłowić okrzyk „Pocałuj ją!” Jej świeżo poślubiony mąż zwrócił się w jej kierunku i ochoczo przystąpił do spełniania nakazu swych poddanych.

- Ale twoja mama powiedziała, że mamy poczekać, aż znajdziemy się na balkonie - wyszeptała wprost w jego usta.

- To prawda - zgodził się z uśmiechem. - Kocham cię.